

NATALIA KUBICIUS

The illustration depicts a large, green, feathery creature with a white skull and sharp teeth, standing on a dark rock. A small, brown, fluffy animal is curled up at its feet. The background is a forest with trees and foliage in shades of green, blue, and brown. The entire cover is framed by decorative golden corner ornaments.

BIĄŁY
I
CZARNA

CZEGO BOI SIĘ ŚMIERĆ

NATALIA KUBICIUS

BIAŁY I CZARNA

CZEGO BOI SIĘ ŚMIERĆ



Copyright © Natalia Kubicius, 2025

Redakcja: Marta Tojza – W sieci słów

Korekta: Anita Głowacka

Skład i łamanie: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Ilustracja na okładce, projekt okładki, mapy oraz asteryski: Martyna Pęcak – Softywan

Wydanie pierwsze

Cieszyn 2025

ISBN 978-83-955141-2-8

Książka jest objęta ochroną prawa autorskiego. Wszelkie udostępnianie osobom trzecim, upowszechnianie i upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Chcesz samodzielnie wydać książkę, ebook lub audiobook? Załóż konto w strefie autora na selfpublishing.empik.com i sprzedawaj swoją książkę w Empik.com

empik  selfpublishing

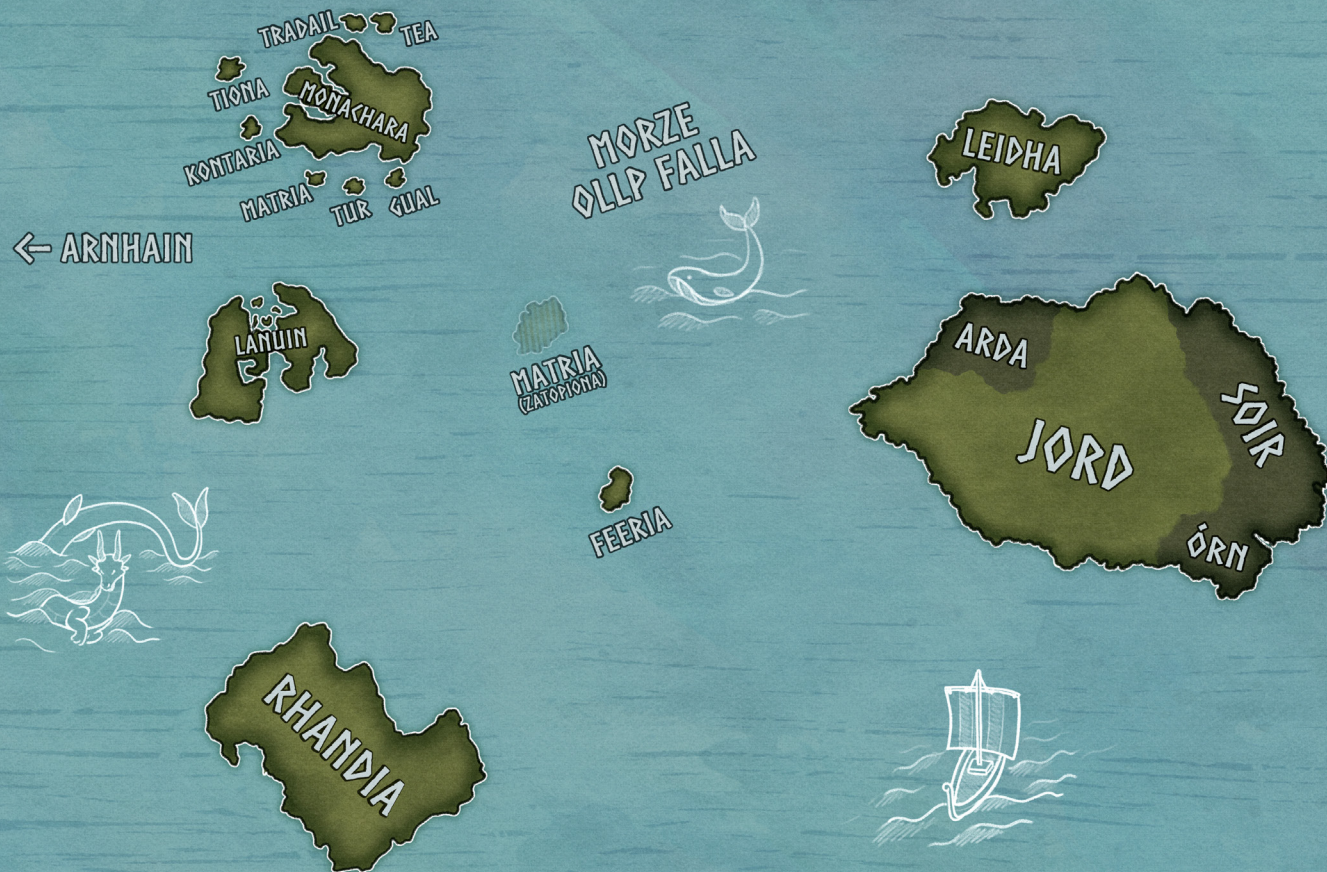
[Kup książkę](#)

*Mądry jest ten, co umie pytać
I odpowiedź dać umie;
Nigdy człowiekowi nie uda się ukryć,
Jakim jest w istocie.*

Hávamál. Pieśni Najwyższego, tł. Apolonia Załuska-Strömberg



ARCHIPELAG PÓŁNOCNÝCH WIATRÓW



FROSK

 o była ich noc. Noc Solin należała do młodych.

Z oddali Elliot widział pierwsze ogniska. Ogień gorzał w kilku miejscach, gdzie zabawa trwała już w najlepszej. Dostrzegł znajomych rówieśników, świętujących we własnym gronie. Niebawem mieli się zebrać w grupy i wyruszyć na poszukiwania Ligushy – błękitnej żaby, pani rzek, jezior i mórz.

Młodzieniec podążył w tym celu sam, chcąc oddalić się od hałaśliwych zgraj. Ominął zarówno las, jak i bagna – wprawdzie nie wierzył w martwice czy mokradlaki, ale na wszelki wypadek wolał nie narażać się na konfrontację.

Po drodze napotkał opuszczone, dogasające ognisko. Usiadł na wprost, ulegając hipnozie tańczących na tle nocnego nieba iskier, po czym spojrzał w dół i zerwał znajomy kwiat. Przyjrzał się delikatnym fioletowym płatkom, chwycił jeden i oderwał niespiesznym ruchem.

– Frosku, frosku, daj szczęścia troszku – westchnął, odrzucając płatek. Rwał kolejne, przy każdym nieparzystym mamrocząc tę samą formułę. – Frosku, frosku, daj szczęścia...

Na kwiecie pozostał jeden płatek, parzysty. Elliot zgniótł roślinkę i odrzucił z impetem. Jęknął żałośnie, po czym zniechęcony ruszył w drogę powrotną do domu.

Podszedł do stawu, który chwilę wcześniej minęła hałastra, najwyraźniej nie znajdując tam tego, czego szukała. Po krótkim namyśle stwierdził, że to dobre miejsce na spędzenie samotnej nocy.

Nad brzegiem zbiornika odbijającego księżyc znalazł więcej frosków. Usiadł obok nich na wilgotnej trawie, po czym zdjął trzewiki i zanurzył nogi w orzeźwiająco zimnej wodzie. Niegdyś już przy samym brzegu zakrywała mu całe stopy, teraz ledwie muskał jej powierzchnię palcami.

Noc Przesilenia. Nadeszło lato, suche i skąpiące deszczy.

Coś poruszyło się w głębinach – jakiś obły kształt, z pewnością ryba. Elliot śledził wzrokiem, jak przemieszcza się w jednostajnym tańcu, jak zręcznie wygina tułów i ogon. Istota popłynęła na środek stawu, po czym gdzieś umknęła. Nie dostrzegł dokładnie gdzie, gdyż było zbyt ciemno.

Ujrzał za to coś innego, co nie wiedzieć kiedy wyłoniło się spod powierzchni. Na samą myśl, że oczy go nie mylą, przeszły go dreszcze.

Bezwładny kształt unoszący się na wodzie nie był zwierzęciem ani tym bardziej martwicą czy mokradlakiem, jakkolwiek te stworzenia miałyby wyglądać. Młodzieniec rozpoznał twarz i włosy, ręce i nogi, tułów, piersi...

Kobieta. Najprawdziwsza kobieta.

Elliot niezwłocznie zanurkował w wodnych odmętach. Płynął, nie wzięwszy ani razu oddechu. Dopiero gdy dotarł do znieruchomiałej istoty, zaczerpnął powietrza. Następnie jedną ręką chwycił kobietę za ramię, drugą zaś zaczął się odpychać w stronę brzegu.

Wyciągnął, a raczej wywłókł bezwładne ciało na trawę. Serce łomotało mu jak szalone. Klęknął z utraty sił, ledwo odzyskując nad sobą panowanie.

Dopiero teraz przyjrzał się istocie bliżej. Nie był wyjątkiem wśród wieśniaków – nie wierzył w rusalki, topielice czy inne powabne i kuszące pięknem panny, które być może niegdyś zamieszkiwały te ziemie. Obecnie dawne wierzenia pozostały już zaledwie legendą. Ale nawet jeśli jakimś dziwnym trafem opowieści okazałyby się prawdą, w żadnej z nich nie znalazłby stworzenia, jakie właśnie miał przed sobą.

Wzrok go nie mylił, była to rzeczywiście kobieta. Okrągłą, niemal dziecięcą twarz o łagodnych rysach okalały długie, ociekające wodą włosy, nieznacznie zasłaniające osadzone blisko siebie piersi. Elliot przyglądał im się z niezdrową fascynacją i choć nie żałował okazji do bezpośrednich oględzin, to nie kobiece walory zwróciły jego największą uwagę. Istota z pewnością była człowiekiem, jednak nie wszystkie cechy na to wskazywały. Niepokój młodzieńca wzbudzał kolor jej skóry – z początku wydawała mu się biała, wręcz trupia, jednak po dokładniejszej obserwacji zmienił zdanie. To nie było martwe ciało, w rękach wciąż dało się wyczuć życiodajne ciepło.

Zarówno skóra, jak i włosy miały odcień błękitu.

Elliot przyłożył dłoń do klatki piersiowej, w miejscu, gdzie powinien wyczuć rytmiczne bicie. Istota rzeczywiście żyła, lecz straciła przytomność. Młodzieniec zbliżył policzek do jej ust, by utwierdzić się w przekonaniu, że oddycha. Obrócił się przodem do dziewczyny i przyjrzał niebieskiej skórze, miękkiej i delikatnej. Na twarzy nieznajomej dostrzegł niezmacony niczym spokój, jaki mogli odczuwać chyba tylko umarli.

Trącił nosem jej nos. Nieznacznie się wycofał, po czym znów nabralł odwagi, czując jednak, że cały drży. W końcu musnął wargami usta istoty, potem z zapalem się w nie wpił i zaczął namiętnie całować. Uległ chwilowej przyjemności, która jednak wydała mu się pusta.

Odsunął się powoli, z nutą zawodu. Rozchylił zaciśnięte dotąd powieki i odskoczył niczym rażony piorunem. Zamrugał kilka razy i westchnął, bo oto dziewczyna zniknęła, rozpułnęła się w powietrzu, a przynajmniej tak się w pierwszym momencie zdawało. Zamiast niej Elliot zobaczył coś, co wprawilo go w jeszcze większe zadziwienie.

W miejscu nieznajomej pozostała błękitna żaba.

Ledwie zdążył zobaczyć niebieskie, przenikliwe jak na płaza oczy, zanim zwierzę skoczyło raz, drugi, aż w końcu wylądowało

w stawie. Elliot się zerwał, choć miał świadomość, że na pogoń było już za późno, i wszedł do wody. Zanurzył nogi zaledwie po kostki i zatrzymał się, wpatrzony w lekko drżącą taflę. Wraz z tym ruchem pod powierzchnią rozprzestrzeniał się coraz jaśniejszy, niepojęty blask, który powoli docierał do młodzieńca i zaczynał oplatać mu łydki.

Elliot spoglądał na to ze wstrzymanym oddechem. Zapragnął uciec, ale nie mógł, pozostawał pod urokiem niezwykle palety barw, która okazała się odbitą w lustrze stawu zorzą.

Śledził jej szalony pęd, nazywany Tańcem Dusz. Nie spostrzegł, kiedy woda zaczęła sięgać mu do kolan i powoli zakrywać uda, zmierzając do linii bioder. Wzrok młodzieńca okryła mgła, zdawało mu się, że słyszy jakąś melodię. Staw pochłaniał go coraz bardziej, jednak Elliot nawet się nie poruszył, ogarnięty bezwładnością.

Otworzył oczy i spostrzegł, że znajduje się pod powierzchnią. Muzyka ucichła.

GALDRA

 kald usłyszał ciche westchnienia. Miał nadzieję, że to odgłosy podziwu. Podstroił strunę lutni, brzdęknął w kolejną, aż w końcu przejechał palcem po wszystkich, zadowolony z uzyskania czystego dźwięku. Powiódł wzrokiem po zebranych w karczmie i zorientował się, że tylko niektórzy spoglądają na niego z oczekiwaniem. Wśród nich dostrzegł uroczą wieśniaczkę o jaśniutkich włosach splecionych w gruby warkocz, uśmiechającą się zagadkowo i ponętnie. Zaczął grać, wpatrzony w szare oczy dziewczyny, mieniające się lekko w świetle. Nie pozostawiał w ten sposób wątpliwości, że balladę dedykuje właśnie jej.

*Pozwól magii zamieszkać w sobie,
Przyjmij jej urok i czar,
Spraw, by odrodziła się w tobie
Uśpiona jak dotąd moc.*

Nie uszły jego uwadze lekkie rumieńce na policzkach wieśniaczki. Za oknem zapadł już zmrok, stąd wybór nastrojowej pieśni.

*Ulepiła nas z gliny ziemi,
Tchnęła oddech w naszą pierś,
Zebrała w jednej kropli lodu
I ognia rzuciła cień.*

Miękki i delikatny głos skalda niósł się po karczmie, stanowiąc zgrabne tło dla toczonych po cichu rozmów. Wieczór był ciepły, zbyt ciepły jak na późne lato, którego wczesny mrok zwiastował nadchodzącą zimę. Przyjemna aura zachęcała miejscowych i przybyszów do długich posiedzeń przy kuflu piwa i wdzięcznej balladzie.

*Rozstąpiły się oceany,
By lądu uchylić nam szczyt,
Podążył w cztery strony świata,
Dając schronienie i byt.*

Szarooka nie patrzyła teraz na niego, zajęta rozmową z dużo starszym od siebie mężczyzną, dotrzymującym jej towarzystwa przez cały wieczór. Skald miał cichą nadzieję, że to tylko ojciec, który za moment schleje się na umór i nazajutrz nie będzie pamiętał, czy córka wróciła na noc do domu.

*Pokarmem obrodziły ziemie,
Błogosławi je letni deszcz,
Lecz gdy śniegu płaszczy otuli,
Zapadną w długi sen.*

Zaintonował ostatnią zwrotkę i zakończył całość wyśpiewanym na początku refrenem. Nagrodziło go kilka oklasków, co przyjął wprawdzie z uznaniem, ale też drobnym niedosytem.

– Zagrajcie coś skoczniejszego, poeto – odezwał się okazałych rozmiarów wieśniak, podobny do wielu innych, niepozbawionych tuszy jegomościów. – Coby pohulać się dało, potańcować.

– Zagram – oznajmił skald, siląc się na uśmiech. – Jeno gardło przepłuczę.

Kątem oka spostrzegł, że szarooka odprowadza go wzrokiem do szynkwasu. Nie odwrócił się jednak w jej stronę.

– Piwa – odpowiedział na pytające spojrzenie karczmarza. – Takiego, co na wasz koszt przystoi.

Udawał, że nie zauważył grymasu, który najwyraźniej miał być komentarzem do tej prośby. Zanim stanął przed nim niewielki kufel z mętnym płynem przypominającym raczej szczyny niż porządny trunek, przysłuchiwał się dyskusji, którą prowadzili trzej siedzący obok wieśniacy.

– Awanturniczka, mówię wam! – zawołał ten najbliższy skalda, szpakowaty, mogący pochwalić się parzystą liczbą podbródków. – Nalejcie no jeszcze piwa! – zwrócił się do karczmarza. – Który to już kufel?

– Szósty, panie.

– Szósty, powiadacie? Phi! Noc jeszcze młoda. Polewajcie no, polewajcie, a żywo! – Okrzykom towarzyszyło wymachiwanie rękami. – No i ta, jak ją nazywacie...

– Mężobaba – odezwał się drugi, a raczej zaskrzeczał, jak ocenił skald.

– Awanturniczka!

– A czemuż to właściwie „mężobaba”, Dukduk? – spytał trzeci, wyróżniający się morzem czarnych, mocno poskręcanych włosów. – Cóż to ma znaczyć ta „mężobaba”?

– No jak to co? – zdziwił się mężczyzna nazwany Dukdukiem. – Z przodu chłop, a z tyłu kobita!

– A skąd wiecie, że nie na odwrót? – zarechotał kędzierzawy.

– Cóż to opowiadacie, Dukduk? – Twarz szpakowatego wykrzywił grymas. – Z przodu chłop, a z tyłu... eee, bredzicie. Toż to najprawdziwsza kobita, z tym i owym, po czym to babę poznać można.

– A no nie do końca dobrze prawicie, Hrunanie – stwierdził czarnowłosy. – Mówią, że tego i owego u niej nie uświadczysz.

– Jak to? Baba bez cyków?

– Takie to u niej cycki jak u starego Gorgena. – Dukduk obejmował się za siebie, najpewniej w kierunku wspomnianego wieśniaka. – Tako więc mówię, mężobaba.

– Żeby to nikt jej porządnie nie wychędożył i nie pomiarkował? Nalejcie no więcej piwa! Który to już kufel?

– Siódmy, panie – odparł ze spokojem karczmarz.

– Noc jeszcze młoda! Polewajcie no, nie żałujcie.

Skald odwrócił się na moment, by sprawdzić, czy szarooka przypadkiem się nie rozmyśliła. Właściwie nawet dokładnie nie spojrział, bo bardziej intrygował go dalszy przebieg dyskusji.

– Chędożyć to nie wypada, nie w tym fachu, gdzież tam! – zawołał kędzierzawy.

– A bo to same chłopy hazardu się imają, to i jako mają chędożyć? – zaskrzeczał Dukduk, ślęcząc przy pustym już kuflu.

– Ja to bym nawet nie chciał. – Na twarz Hrunana wrócił grymas. Wraczał on dosyć często. – Brzydka podobno.

– Kaleka, mówią. – Głos Dukduka przybierał coraz wyższe tony. – Przez matkę wiedźmę oszpecona.

– Gadają raczej, że psi ją poszarpali, jak jeszcze podlotkiem była – oznajmił czarnowłosy. – Jedno ucho wygryźli całe, a drugie jeno trochę pokąsali.

– Soirskie suki – prychnął z lekceważeniem Hrunan.

– A co wy o tym sądzicie? – zwrócił się do skalda czarnowłosy. Poeta się zdziwił, że jegomoście uznali go za uczestnika dysputy. – Słyszeliście o tej słynnej karciarce, co to ogrąła cały Soir i przy mierza się do turnieju we Frosku?

– Nie słyszałem – przyznał. – Temu jestem tak wielce ciekaw.

– Pięknie żeście to śpiewali przed momentem – stwierdził kręconowłosy. – O tym, jako magia nas na ten świat powołała, jako wody rozlała i drzewa posadziła. To i o karciarce pięknie zaśpiewacie.

– Mężobaba – zaskrzeczał Dukduk. – Ballada o mężobabie.

– Tytuły lepiej poetom zostawcie – odparł czarnowłosy. – To nas od śpiewaków różni, że jeno przasne rymy składać umiemy. A to tak trzeba... jako z babą. Po lekku, rozkosznie i okolem, byle nie jawnie. Nie, Dukduk, to nie będzie ballada o mężobabie.

To będzie... królowa! – ożywił się nagle. – Królowa Kart, o tak. Zapiszcie to sobie gdzieś, poeto, albo zapamiętajcie.

– To brzmi wcale zacnie – stwierdził skald. – Karciana Królowa, kaleka i postrach Jordu.

– Dobrze to wymyślicie, poeto, wierzę w was. – W głosie Hrunana słyhać było uznanie. – Wypijmy, panowie. Za Karcianą Królową i mężobabę!

– Za królową! – wykrzyknęli chórem.

– Za mężobabę! – wyróżnił się skrzek Dukduka.

– No, panowie – podjął Hrunan. – Noc młoda dla was, nie dla mnie. Przyjdzie mi do izby wracać. – Wypił jednym haustem zawartość kufła i wytarł pianę z ust rękawem koszuli. – A wy, poeto, zabawiajcie tedy, bo tu posną wszyscy jak jeden mąż! – Wyłożył na blat sporą garść drobniaków, karczmarz natychmiast je zgarnął i schował. – Bywajcie, panowie!

– Ano, bywaj! – odparli towarzysze.

– A wam do domu nie spieszno? – spytał czarnowłosa Dukduka. – Do baby i dzieciaka?

– Eee... – westchnął beztrosko, po czym nieco spoważniał. – Spieszno i owszem, ale z przymusu jeno. Trza nam w karty grać, coby mężobabę do pionu ustawić – zarechotał, na co kędzierzawy odpowiedział wymuszonym uśmiechem. – Tak że tego, bywajcie, Maelikardzie. Poeto. – Skłonił się niezgrabnie przed każdym z nich, po czym lekko chwiejnym krokiem powłóczył w kierunku wyjścia, trącając przy tym kilku siedzących przy stołach gości oberży.

– Nigdy mocnej głowy nie miał, oj nigdy – westchnął mężczyzna, którego imię skald poznał dopiero przed momentem. – To co? Po jednym jeszcze, wierszokleto?

– Dziękuję, ale chyba odmówię. – Zajrzał do pustego kufła z nutą odrazy, ale i z satysfakcją. – Trzeba mi jeszcze nieco tutejszych zabawić, to i nie mogę się przy tym chwiać ani seplenić.

– Po tych szczynach? Nie przesadzajcie. – Maelikard poklepał się po kieszeniach spodni. – Zaraza, Dukduk się wytoczył, a grosza

nie zostawił, powsinoga zasrany. – Wyjął garść monet i przeliczył. – Coraz trudniej, panie poeto. Deszczy mało, plony usychają, to i piwo droższe. – Schował z powrotem miedziaki, po czym pochylił się ku skaldowi i ściszył głos. – Gadają, że to zaczęło się we Frosku w Noc Solin. Pamiętam niewiele, bo i dziecięciem byłem, ale o starym Elliocie zrobiło się naówczas głośno.

– Mówili, że oszalał – przytaknął skald. – Niektórzy nawet się zarzekali, że utonął i wrócił do żywych.

– Nie wierzycie w to chyba? Utonął czy nie, coś się zmieniło. Ludzie głupstwa gadają i zawsze gadać będą, ale zrobiło się tego... więcej. To już nie tylko kmiecie, ale i uczeni powiadają, że zjawy i demony w legendach jeno żyjące wracają. Wodniacy się skarżą, że im psotnik klabater liny podcina, strawę zżera i figle płata. Żeby to baba albo dzieciak, ale nie, swoje chłopcy, co to łeb na karku mają, powiadają, że po nocach nie śpią, bo im zła śnica myśli mąci.

– Nie wierzycie, że stary obłąkaniec utonął, a w klabatry i śnice już tak? I co jeszcze? Piwosze trunek wam żłopać każą?

– Żartów sobie nie strójdzie, poeto. Lato się kończy, po nim zima rychło nadejść winna, a tu kubraka ni peleryny nie trza. Powiecie, pięknie to tak, kiedy słońce przygrzewa, ale nie, nie! Pięknie to było, jako śniegi się roztopiły, a teraz? Powiadają, że prawdziwych mrozów nie doczekamy. Kiedyś, proszę was, zimna się baliśmy, że na Śmierć wszystkich skuje, a wtenczas nadchodzi wieczna susza, plonów i wody niedostatek. Wzywaliśmy słońce, tako więc przyszło. Nie ciemności trza nam się bać, jeno światła.

– Trochę żeście się zagalopowali. – Skald uśmiechnął się przeźornie. – Kto wie, co tam bogowie zamierzają. Ale co śnice i mokradlaki mają z tym wspólnego?

– Magia, poeto. Ona wraca. Jako żeście śpiewali w tej balladzie?

– Że magia jest w nas! – Skald złapał się za głowę. – Miłość, proszę was, dobro i prawda, oto magia, która nam pozostała!

– Eee, ja o kupie, a wy o dupie – burknął Maelikard, zaglądając do pustego kufła. – Wielce żeście przy ziemi jak na wierszokletę.

– My, poeci, choć nie stronimy od barwnych i wyszukanych metafor, wbrew pozorom trzymamy się tego, co jest, a nie, co być może.

– To ja wam powiem, co jest. Ta, jako ją Dukduk nazywał... mężobaba. Dverg z nią chodzi, karzeł znaczy. Stary wyga, dobry podobno, uczył kobitę grać. Ich jest więcej. Tam, w Soirze, siedlischu plugastwa i szubrawców wszelakich, coraz częściej się ich widzi.

– Phi! Karły? Toż to małe ludki są, nie żadne tam magiczne istoty.

– Czyżby? – Maelikard przybrał groźną minę. – A widzieliście kiedy karlicę z brzuchem? Albo słyszeliście, żeby kto dvergowy poród odbierał?

– Po prawdzie nie byłem świadkiem żadnego porodu – stwierdził obojętnie skald. – Do czego zmierzacie? Że karły wykluwają się w kopalniach Mereminu jak larwy? Nie bądźcie śmieszni.

– Mówcie, co chcecie, poeto, ja tam swoje wiem – warknął kręconowłosy, spoglądając ukradkiem na wciąż pusty kufel i przeliczając coś na palcach. – Mieliście, zdaje się, kmieciów jakąś skoczną piosnką rozbawić?

– Ano, miałem. Bo mi karczmarz noclegu nie da, a grosza przy złamanej duszy nie mam. Złamanego grosza przy złamanej duszy...

– Ejże, nie bądźcie tacy smętni. – Maelikard klepnął go po plecach. – Ale pamiętajcie, com rzekł, jeszcze to wspomnicie. Magia się odradza.

Potencjalna publika skurczyła się co najmniej o połowę, ale nie powstrzymało to skalda przed zaintonowaniem kilku skocznych piosenek, do których autorstwa nigdy by się nie przyznał, gdyby jakimś cudem podobna amatorska chałtura wyszła spod jego

pióra. Rozmowy wyraźnie się ożywiły, niektórzy nawet zerwali się z miejsc i w pijackim ferworze zainicjowali chwiejny taniec. Do bawiących się wieśniaków nie dołączyła jednak szarooka. Głaskała po głowie niewątpliwie śpiącego bydlaka, który opierał się ramionami na stole.

Hulanka nie trwała długo. W którymś momencie zataczający się goście poprzewracali jeden drugiego, skłaniając nieco trzeźwieszych kompanów do interwencji. Poeta, nie widząc sensu w intonowaniu kolejnych pieśni, podążył w kierunku jasnowłosej wieśniaczki. Ta jednak zdawała się go nie zauważać.

– Uszanowanie, jaśnie pani. – Skłonił się lekko, mając świadomość, że może wyjść na głupka.

Dziewczyna zadrżała, jakby przebudzona z głębokiego snu. Gdy się obróciła, natrafiła na spojrzenie skalda i natychmiast się zawstydziła. Uciekła wzrokiem, ale tylko na moment, bo zaraz potem powiodła po ładnej chłopięcej twarzy, której właściciel nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Powagi dodawała mu krótko przystrzyżona broda, nieco ciemniejsza niż poskręcane na końcach pszenicznoblond włosy sięgające ramion. Uwadze wieśniaczki nie uszło wycięcie w białej przewiewnej tunice, odsłaniające klatkę piersiową pokrytą lekką szczecina oraz efektowne posrebrzane wisiory. Na ułamek sekundy zatrzymała na nich spojrzenie, a następnie podążyła dalej, ku obcisłym skórzanym spodniom. Sprawiały, że mężczyzna wydawał się nie tylko wyjątkowo szczupły, ale i wysoki. Rzuciła jeszcze kątem oka na sięgające kostek ciżmy, a następnie wróciła do tęczówek – brązowych, przenikliwych, ale przede wszystkim urzekających, jak myślał o nich sam poeta.

Twarz dziewczyny jak gdyby pojaśniała, chociaż wciąż gościła na niej powaga.

– Jeśli jegomościa trzeba do domu sprowadzić – oznajmił uprzejmie skald – to ja chętnie służyć...

– Chrzanić go, starego zgreda – przerwała mu z zadziwiającą zawziętością. – Nie zamierzam go niańczyć... choć właściwie po to tu jestem. Psiamać...

Była zdenerwowana, ale poeta wyczuł w jej głosie dozę nieśmiałości. Chciał wierzyć, że spowodowała to jego obecność.

– Będziecie po ciemku wracać? Służę...

– Nie trzeba, poeto. – Nabrała nieco pewności. – Umiem o sobie zadbać. A wy, bez urazy, rymy piękne układacie, ale oręza to u was ze świecą szukać.

– Nie każdą walkę da się wygrać mieczem. – Uśmiechnął się zagadkowo.

– A jakże inaczej? – Roześmiała się, co bardzo go zadowoliło. – Sentencją? Zabawniście.

– Taki mój fach. Choć trafniej byłoby powiedzieć: „powołanie”.

– Nie znam żadnego z tych słów – odparła słodko. – To, co nazywacie powołaniem, u mnie może być co najwyżej... niedolą, parszywym losem. A to, co u mężczyzn uchodzi za fach, dla kobiet jest... hm, obowiązkiem? Służbą?

– Nowe szlaki trzeba nam przecierać – oznajmił z powagą, choć z twarzy nie zniknął uśmieszek. – Wiecie zapewne, że skald to fach... niech będzie, fach szanowany, nauczany z dziada pradziada, przekazywany z ojca na syna przez wieki. Stąd na dworach i w oberżach muzykują starcy albo przynajmniej ludzie dalece posunięci w latach. Pozwolisz?

Nie czekał na zgodę, by móc się przysiąść do stołu, ale i tak natychmiast ją otrzymał.

– Bo widzisz – pozwolił sobie na odrobinę poufałości – zwykło się mówić, że do przekazywania ballad, do układania mądrych i niebłahych rymów potrzeba doświadczenia, wiedzy tajemnej, której ot tak nabyć się nie da. I jak to później wygląda? Przychodzi jeden z drugim, o ile w ogóle do chodzenia jeszcze jest zdolny, z zachrypniętym gardłem i brakami w pamięci. Z miną mędrca

i tempem objuczonego osła mruczy pod nosem coś, co śmie nazywać balladą. A przecież nie o to w poezji chodzi. – Zajrzał w szare, ponętne oczy, dostrzegając w nich blask odbijających się płomieni świec. – Poezja ma być lekka i śpiewna. Czasem również spokojna, owszem, ale nierzadko też burzliwa, pełna wigoru. Ma być piękna i... żywa. Ma się w niej tlić życie.

Położył dłonie na palcach wieśniaczki. Poczuł, że są zimne, więc zaczął je delikatnie masować.

– Poezja jest jak miłość – mówił wolno, melodyjnie, widząc w oczach dziewczyny już nie tyle przyjemność, ile odrobinę rozkoszy. – A miłość jest jak poezja. Nie powinna być nazywana po imieniu, bo wówczas cały jej czar przyska. Trzeba nieustannie przezdierać się przez gąszcze metafor i niedopowiedzeń, za którymi nigdy nie kryje się jedna i ta sama treść. Każdy odbiera ją inaczej, każdego porusza ona w inny sposób. Ale jak dotąd nikt z całą pewnością nie określił natury wiersza.

Dłonie wieśniaczki były już ciepłe, lecz skald masował je dalej, wyczuwając gdzieniegdzie blizny i zadrapania.

– Dlatego tu jestem – podjął nieco żywiej. – Ja, niedorostek wśród leciwych skaldów. Jestem tu, bo coś się zmienia. I nie, nie chodzi o deszcze ani susze, to mało mnie trapi. Zrozumiałem, że to ja jestem zmianą, jak to mówią, kowalem własnego losu. Jestem poetą swego wiersza, piszę go na swój sposób. Z dozą świeżości, inaczej, lepiej. – Ucisnął jej dłonie. – Ode mnie zależy, czy będzie to panegiryk, poemat czy może pieśń pogrzebowa.

Bydlak zamruczał przez sen, wyrывая ich na moment z przedziwnego transu. Szarooka spuściła wzrok i westchnęła ciężko. Skald zaś odsunął ręce w zakłopotaniu.

– Powinam już iść – oznajmiła smutno. – Matka się pewnie martwi, że zapiłam razem z nim.

Chciała wstać, jednak zatrzymały ją ręce skalda, delikatnie obejmujące jej nadgarstki.

– Jesteś zmianą – spoważniał. – Możesz być zmianą.
– Ale... czym miałyby być ta... zmiana?
– Drżysz. – Podniósł się i obszedł stół, aż znalazł się tuż przy dziewczynie. Wziął ją czule w ramiona. – Na górze jest ciepła izba, ogrzejesz się.

– Ja... nie wiem, czy powinnam...

– Zmiana. – Mocniej zacisnął ręce wokół niej. – Każda wielka zmiana zaczyna się od małego kroku. Od pokonania kilku stopni, zdobycia małego szczytu, po którym będą kolejne, większe, wspinalsze. O czym zawsze marzyłeś? O podróżach? Wielkiej miłości? A może...

– Jak cię wołają, skaldzie? Nie przedstawiłeś mi się.

– Gaspar – odparł cicho, czując jej twarz przy torsie. – Wybacz ten brak manier. Chętnie poznam twoje imię.

– Aeinne – westchnęła. – Gasparze, ja...

– Rzeka – przerwał jej z zachwytem. – Jesteś rzeką, Aeinne. I to nie byle strumieniem. Jesteś rzeką dawnych ludów, legendą, śladem wielkiej przeszłości. Jesteś...

Powiodła ręką po jego piersi i zaczęła obracać wisiory w palcach.

– Wiedziała, że tak się to skończy – szepnęła mu do ucha. – Ale nigdy bym nie przypuszczała, że zwykłe zaloty można okraszyć tak dalece posuniętym rozważaniem – zachichotała, trącąc wargami jego policzek. – Bądźmy więc zmianą.

Gdy do niego mówiła, zauważył, że mieli kilku gapiów, najpewniej znających dziewczynę. Wiedział, że to nie wróży niczego dobrego.

– Przejdźmy się, Aeinne. – Teraz on szeptał jej do ucha. – Niech przynajmniej myślą, że odprowadziłem cię do domu.

– Bzdura. – Spojrzała na niego śmiało. – Plotki obchodzą mnie tyle co zeszłoroczny śnieg, a raczej jego brak. Tak, wiem, co powiedzą i jak mnie nazwą. Nie dbam o to. Podobasz mi się, a ja podobam się tobie. Nie komplikujmy tego, dobrze?

Jak na zawołanie spojrzeli w stronę chrapiącego bydlaka.

– Co z nim?

– Zostaw. – Aeinne machnęła ręką. – Obudzi się i sam trafi do domu. Tak, wiem, co myślisz. Że jestem złą córką, że nie dbam o tatusia. Owszem, nie dbam. On tym bardziej nie zawraca sobie mną głowy.

– Chodźmy. – Ujął jej ramię. – Podoba mi się twój zapach. Nie chcę, żeby ci przeszło.

– A nawet jeśli, to cóż z tego? – zachichotała. – W końcu jesteśmy zmianą. Wielką zmianą.

SAIBHIR

Lubił podglądać ją zza uchylonych drzwi. Szczególnie gdy była sama, bez nauczyciela. Wtedy miał poczucie, że wracza w jej intymność, ale jej nie zaburza, pozostając niezauważonym. Lubił widzieć ją spokojną, skupioną na płótnie i powoli formujących się na nim kształtach. Każde kolejne pociągnięcie pędzla kosztowało chwilę zamyślenia i tajemniczych uśmiechów. W żadnym innym momencie nie widział jej tak szczęśliwej.

Ale dziś nie znajdowała się w azylu, nie bawiła w abstrakcję, przelewając myśli na białą przestrzeń. Południe było czasem lekcji, stąd obecność odznaczającego się potężną posturą mężczyzny o kruczych włosach sięgających do połowy pleców, gęstej, starannie przystrzyżonej brodzie i przenikliwych oczach koloru morza, błękitnych lub zielonych, w zależności od padającego na nie światła. Wydawał się monstrualny przy drobnej sylwetce królowej. Zaglądał jej przez ramię, a raczej ponad głowę, marszcząc krzaczaste brwi.

– Palce, Dæno – zabrzmiał niski, pełen spokoju głos. – Wciąż wychodzą ci za grube, nieproporcjonalne.

– Palce – bąknęła, popadając w zadumę. – Twoje są potężne, mogłyby zadusić olbrzymia. Tymczasem chwytasz nimi pędzel i bez trudu kreślisz detale. Paznokiec, żrenicę, rzęsę...

– Nie wszystko przychodzi od razu. – Na twarzy nauczyciela zagościł serdeczny uśmiech.

– Uczysz mnie już od co najmniej kilkunastu lat, Drengurze – zachichotała, ale w jej głosie dało się wyczuć smutek. – Zaczynam dostrzegać powody, dla których zostałam królową, a nie malarką.

– Cierpliwości, Dæno. Nie powinnaś być dla siebie zbyt surowa. Zwłaszcza po tak długiej przerwie.

Obróciła się w jego stronę, gdy przykucnął. Ujął jej drobne dłonie z zaskakującą finezją.

– Twoje ręce mają być posłuszne duszy, znać jej pragnienia i zamiary. – Spoglądał na białą, gdzieniegdzie naznaczoną pierwszymi zmarszczkami twarz. Królowa nieśmiało odwróciła wzrok. – Dłoń jest tylko narzędziem, palce jej sługami, a przedramię przewodnikiem. Mówiłem ci to już po wielokroć, Dæno. Moje potężne, jak je określiłaś, ręce są zaledwie pośrednikami.

Gdy rozległy się kroki będące następstwem pożegnania, chłopiec schował się za misterną jesionową komódką, która zdobiła królewską komnatę. Kiedyś, gdy był mniejszy, potrafił się pod nią wślizgnąć, ale te czasy już dawno minęły. Uderzenia o podłogę stawały się coraz głośniejsze, aż zaczęły na powrót cichnąć. Odczekał dłuższą chwilę, nie doszedł go jednak odgłos kolejnych, lepszych kroków.

Zajrzał ponownie do pracowni owianej całkowitą ciszą. Było to chyba najmniejsze pomieszczenie w całym pałacu. Pośrodku znajdował się stół przykryty lnianą tkaniną, przed nim zaś na drewnianym taborecie siedziała drobna, lekko pochylona postać o miodowych włosach upiętych w niesforny kok, ubrana w niezbyt wyszukaną, pozbawioną ozdobnych wykończeń suknię barwy brudnego fioletu. Obok na wyciągnięcie ręki stał drugi stół, dłuższy, w wielu miejscach wyszczerbiony. Roilo się na nim od pędzli o różnorakiej grubości włosiach, glinianych naczynek z szeroką gamą kolorowych barwników i gotowych emulsji, a także kuran-tów do ucierania pigmentów, klejów, olejów i innych akcesoriów niezbędnych w sztuce malarskiej. Można tu było znaleźć barwniki takie jak żółć sandaraku, czerwień hematytu, błękit azurytu czy

zieleń malachitu. Wytwarzano je z minerałów i roślin pochodzących niemal ze wszystkich stron świata – od kopalni Mereminu umiejscowionych w północnym Soirze po daleką Rhandię.

Komnatę ozdobił obraz, jeden z wielu powstałych spod utalentowanych rąk Drengura, będący ulubionym dziełem królowej. Przedstawiał zbiornik wodny – staw albo jezioro – skryty pośród zielonych gąszczy. W centralnej części znajdowała się zanurzona w połowie postać: kobieta, sądząc po twarzy i wydatnych piersiach, naga i piękna. Wyciągała ręce w kierunku, którego obraz już nie zdradzał. Uwagę przykuwała przede wszystkim dolna część jej ciała, z człowiekiem niemająca już za wiele wspólnego. Od linii bioder ciągnęła się pokryta wyrostkami kończyzna albo raczej ogon, owinięty wokół leżącej na dnie gałęzi. Obraz nosił zagadkowy tytuł *Varlisha*.

– Ach, to ty, Wicherku – westchnęła królowa, gdy z głębokiego zamyślenia wyrwało ją pukanie do uchylonych drzwi. – Coś się stało? Król mnie już wzywa? Zdaje się, że właśnie udziela audiencji... jednej z tych, o których ze mną nie rozmawia – dodała z przekąsem.

– Owszem – odparł chłopak z właściwym sobie dostojeństwem. – Przyszła korespondencja, również do ciebie, pani Dæno. – Chłubił się tym, że jako jedyny zwracał się do królowej w ten na wpół oficjalny, na wpół poufaly sposób. – Z wilczą pieczęcią, o ile dobrze usłyszałem.

– Laevie, no proszę. – Uśmiechnęła się, nie patrząc przez moment na rozmówcę. – Zapewne nowa porcja dworskich płoteczek i babskich frasunków, ach, tęskniłam za tym. – Nie kryła ironii. – A zresztą, co ja ci będę o tym mówić, znasz ją prawie tak dobrze jak ja.

Przytaknął z pozbawioną wyrazu miną.

– Co jest, Saphed? Nie chodzi o list, prawda? Coś cię trapi?

Nigdy jej tego nie powiedział i nie powie, ale uwielbiał, gdy z taką łatwością odgadywała jego myśli.

– Podejdź no.

Wykonał polecenie. Dæna wciąż siedziała na taborecie, spoglądał więc z góry na jej delikatną twarz, tak jasną w porównaniu z jego brązową skórą. Napawał się widokiem dużych orzechowych oczu, zadartego nosa i wąskich różowych ust. Jeszcze kilka lat temu usiadłby królowej na kolanach i przytulił głowę do jej piersi, ale te czasy minęły. Dziś mógł już nazywać siebie mężczyzną.

Objęła go czule w pasie. Lubił, gdy to robiła, ale nigdy jej tego nie powiedział i nie powie.

– Miałem... dziwny sen, właściwie nie pierwszy – zaczął niepewnie, z niepohamowanym drżeniem w głosie. Onieśmiało go pełne troski spojrzenie Dæny, a równocześnie drażniła świadomość, że była to wyłącznie matczyna troska. – Znalazłem się gdzieś na przedmieściach, na ścieżce pośród drewnianych chat. Ja... byłem kobietą. Dziewczynką.

Pełen uroku uśmiech zniknął z twarzy królowej. Z niedowierzaniem zmierzyła chłopca wzrokiem i zmarszczyła czoło. Zaraz jednak na powrót opromieniała.

– Dziwny to sen, rzeczywiście. Nie mnie osądzać, co może oznaczać, o to trzeba by spytać mnicha albo mędrca. Ale muszę przyznać, że nie zdumiewa mnie on tak bardzo jak ciebie.

Nie odpowiedział, jednak kamienna dotąd twarz zdradziła zdziwienie.

– Nie zrozum mnie źle, zawsze widziałam w tobie chłopca. Mężczyznę.

Stał w bezruchu, skupiony na obejmujących go dłoniach.

– Widzisz, niegdyś pewna osoba nauczyła mnie rozróżniać trzy rodzaje ludzi. Pierwszy to właśnie mężczyźni, w ścisłym tego słowa znaczeniu, z wszelkimi walorami i przywarami związanymi z ich... przepraszam, waszą naturą – powiedziała. Mógłby przyjąć, że w jej ton wkradła się kąśliwość. – Drugi, jak pewnie się domyślasz, to kobiety, rozumiane podobnie. – Uniosła prawą dłoń, by poprawić opadający na twarz kosmyk. – Pewnie spytasz, kogo uważam za trzeci rodzaj. Otóż tych, którzy mimo przypisanej im

od urodzenia płci potrafią, jak by to ładnie ująć... przekraczać jej, jak się okazuje, pozorne granice.

Położyła obie ręce na udach, więc Saphed skupił się już w pełni na jej słowach.

– To mężczyźni, którzy mimo niewątpliwie męskich cech potrafią wykazywać się dogłębną wrażliwością, pojąć istotę macierzyństwa, rozważać emocje. To również kobiety, którym nieobce są męstwo i odwaga, wewnętrzna i zewnętrzna siła, które nie boją się stanąć do boju i bronić bliskich. Nie tylko orężem.

Spojrzała prosto w ciemne oczy chłopca. Z każdą chwilą oniesmiałała go coraz bardziej.

– Wiem, co myślisz. Szufladkuję ludzi, wiele spraw upraszczam. Może to i prawda... a może nie. Ale mam pewność co do jednego: że ty, Wicherku, w żadnej szufladzie nie byłbyś w stanie się pomieścić, i to od momentu przyjścia na świat!

Wstała i pogładziła Sapheda po grubych, pozostających w wiecznym nieładzie włosach, którym zawdzięczał swój przydomek.

– Nie umiem tłumaczyć snów, ale wiem, że kryje się w nich mądrość. To twoja natura upomina się o ciebie. Natura, która nie uznaje granic.

Chłopak nie odpowiedział, nie miał w zwyczaju odzywać się bez potrzeby. Z niezmienną powagą spoglądał na uniesione kąciki ust Dæny, na uwydatnione przy nich zmarszczki, które przestały znikać, gdy królowa poważniała. Jej Wysokość nie była już tym dziewczęciem, które przysparzało chłopca czternaście lat temu, ani nawet osobą, która już całkiem dobrze obyla się z dworskim życiem. Saphed patrzył na wciąż zniewalająco piękną kobietę rządzącą u boku króla Jordy, wyglądającą na młodszą niż w rzeczywistości. Jej dojrzały wiek zdradzały jednak oczy – brakowało im dawnej isierki zapału i ciekawości świata. Z roku na rok coraz wyraźniej odznaczały się zmęczeniem.

– Twoje sny... – podjęła po dłuższej chwili. – Już niedługo nauczysz się je rozumieć. A później, kto wie, może wrócisz na

dwór jako królewski doradca? Albo, jeśli taki twój los, wyruszysz z klasztoru w Dathuil daleko na zachód, do samego Arnhain, aby zgłębiać najtajniejsze z nauk? Hej, nie smuć się. – Znów bezbłędnie odczytała jego uczucia, mimo że nie okazał ich w żaden sposób. – Oboje wiemy, że tu, w pałacu, nie ma dla ciebie przyszłości. Owszem, mógłbyś na zawsze zostać moim paziem, ale czy taka przyszłość by cię zadowoliła? Nie muszę pytać, przecież wiem, jak wiedza cię pociąga.

Uśmiechnęła się zaczepnie. Robiła to dosyć często, gdy czuła się swobodnie.

– Paż królowej. Titaleeni. Wiedziałeś, że tak w Rhandii nazywają motyle? A motyl to piękna metafora uwielbiana przez skaldów i po prawdzie dosyć już oklepana. Obrzydła larwa przeobrażająca się w precudnego owada. Ty nigdy nie byłeś obrzydły, co to, to nie. Ale muszę zacząć godzić się z myślą, że powoli wychodzisz z poczwarki. W końcu przyjdzie dzień, kiedy stracę cię bezpowrotnie, jak niegdyś... Ech, chodźmy już, bo zaczynam się rozklejać. – Otarła łzę. – W końcu trzeba opisać siostrze, jak się mają dworskie sprawy! Czy wszyscy zdrowi, w jakim nastroju jest król, co dziś włożyłeś na siebie... bordo, no proszę!

Usta Sapheda ułożyły się w coś na kształt uśmiechu.

– Pani Dæno – odezwał się w końcu. – Wiem, że nie powinienem pytać... Czy chodzi o Anah? Czyżby Jego Wysokość się obawiał, że zakłóca uroczystości noworoczne?

Królowa posmutniała. Choć Saphed wyraził tym pytaniem szczerą obawę, po raz kolejny przepełniała go duma, że jako jedna z nielicznych osób może nie tylko pytać o tego typu sprawy, lecz także wiele się o nich dowiadywać.

– Zapewne – odparła po dłuższej chwili. – Nie mówi mi za wiele, a moje domysły też mają swoje granice. Próbuje się z nimi układać, to na pewno. Nie wiem, czy mam go za to podziwiać, czy krytykować. Jak widzisz, nawet nie proszę o uczestnictwo w pertraktacjach. Nie po tym...

Saphed się nie odezwał, nie musiał, słowa byłyby w tym momencie zbyt krzywdzące. Oboje pamiętali, za co po dziś dzień obwinia się klan. Pamiętali o poważnych podejrzeniach, które niegdyś spadły na jego członków.

– Gdybym się czegoś dowiedział...

– Nie musisz – wtrąciła, siląc się na uśmiech. – Jesteś paziem, nie szpiegiem. Jesteś... a niech to, gdybym tylko miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie...

Wyraz twarzy Sapheda zdradził zdziwienie.

– Odkąd mój syn... kochałam go, to oczywiste, ale... ty byłeś pierwszy. – Wlepiła w niego tak przenikliwe spojrzenie, że aż zaдрżał. – Pamiętasz, gdy przybyliśmy do Saibhir, mówili o tobie... pewnie wciąż mówią... że jesteś szczęśliwym amuletem królowej. Że to dzięki tobie... ech, wiesz, jacy są ludzie, uwielbiają zabobony. Ale ja rzeczywiście wierzę, wiem, że przyniosłeś mi pomyślność. Może nie zaprowadziłeś mnie na dwór, nie uczyniłeś królową Jordu, ale byłeś i jesteś moim szczęściem.

Chwyliła go z przejęciem za bordowy kaftan zdobiony roślinnymi motywami. Jej oczy ponownie się zaszklily.

– Gdyby to ode mnie zależało... Nie powtarzaj tego nikomu, niech to zostanie między nami...

Przytaknął.

– Gdybym mogła decydować... zostałbyś królem, Saphed. – Już drugi raz w ciągu tej rozmowy zwróciła się do niego po imieniu, a robiła to tylko wtedy, gdy była śmiertelnie poważna. – Najmądrzejszym, jakiego kiedykolwiek miał ten kraj.

Chciał coś powiedzieć, nie pozwoliła mu jednak dojść do głosu.

– Powiem więcej. Wiedz, że choć teraz nikomu nawet nie przeszłoby to przez myśl, przyszłość może nie pozostawić nam wyboru. GaeFRING... Jego Wysokość nie jest wieczny, a ja... czasem próbujemy, rzadko, bo rzadko... rozumiesz to wszystko, prawda?

Potwierdził skinieniem. Lubił, gdy mu się zwierzała, gdy na powrót stawiała się dziewczyną, którą pamiętał ze swojego

dzieciństwa. Jako że traktowała go już jak dorosłego, robiła to coraz częściej.

– Rozchodzą się plotki, że to przeze mnie, że jestem już jałowa. Ale nie, przecież to jeszcze nie ten wiek. Ja... ja się po prostu zamknęłam, wiesz? – Oczy znów napłynęły jej łzami. – Ja, a raczej moje ciało, nie chce drugi raz tego przeżywać. Moje ciało...

Poląła się pierwsza kropla, a zaraz za nią druga. Królowa otarła je szybko, ale natychmiast popłynęły kolejne, nie do opanowania. Saphed wiedział, że jakiegokolwiek słowa nie są potrzebne, że kobieta, którą darzy bezwarunkową miłością, potrzebuje teraz wyłącznie jego czułości. W końcu wychował się wśród dwórek – najpierw księżniczki, później królowej Dæny. Słyszał mnóstwo plotek na temat tego, jacy mężczyźni są względem kobiet, a jacy być powinni.

Wtuliła się w chłopca, zostawiła kilka łez na lnianym kaftanie. Chlipała przez dłuższą chwilę, ale zaraz ucichła, ukołyszana w jego ramionach jak dziecko. Wreszcie się odsunęła i delikatnie przetarła oczy, tak by całkiem nie rozmazać makijażu.

– Chyba się starzeję – zachichotała nerwowo. – Rozklejam się jak starucha żebrząca o pieniądze. Chodźmy, Jego Wysokość powinien już kończyć.

Saphed podał ramię królowej i poprowadził ją z gracją godną księcia. Godną króla.

HUGRAKKUR



dy otworzył oczy, wciąż było ciemno, jednak nie całkiem. Światło słoneczne wdzierało się już do wnętrza groty, zwiastując nadchodzący dzień. Mężczyzna wstał, przeciągnął się z jękiem, po omacku odnalazł leżącą gdzieś obok pochwę z mieczem i przytwierdził ją do pasa. W pierwszej chwili zdało mu się, że jest sam, lecz podał to w wątpliwość, gdy poczuł zapach mokrej sierści. Rozejrzał się nerwowo, ale mrok nie pozwalał mu niczego dostrzec. Usłyszał za to ciężki oddech kogoś, a raczej czegoś pogrążonego w głębokim śnie.

Oczami wyobraźni ujrzał wszelakiej maści zjawy i bestie, które znał z legend, a które w tych dziwnych czasach, kiedy mówiło się o rzekomym powrocie magii, mogły rzeczywiście jakimś cudem znaleźć się w grocie. Czy były tu pierwsze? A może przyszły nad ranem i ominęły przybysza z obojętnością godną roślinożercy?

Nie wiedział i wołał się o tym nie przekonywać.

Zrzącenie losu zadecydowało jednak inaczej. Jeszcze zanim wyszedł, oddech przerodził się w kwilenie, w dodatku nie jednej, lecz wielu istot. Mężczyzna odwrócił się niepewnie i rozejrzał po wnętrzu. Gdy jego wzrok przystosował się do mroku, dostrzegł zarys kilku niewielkich głów z postawionymi uszami i długimi pyskami, a także po dwie pary włochatych łap.

– A niech mnie – westchnął i się zaśmiał. – Gdzie wasza mama?

To pytanie naraz zmroziło mu krew w żyłach. Uświadomił sobie, że młode nie przyszły tu same, że musiała je tu przyprowadzić...

– To ja ten... będę się zbierał – oznajmił, jak gdyby musiał się tłumaczyć szczeniakom z podjętej decyzji.

Wyrzwał z groty i wziął głęboki wdech górskiego powietrza. Przywitał go las, zapach drzew i ptasi świergot układający się w całkiem zgrabną melodię, jakiej nie powstydziliby się niejedni skald. Mężczyzna zagwizdał, próbując naśladować trel, i z zadowoleniem usłyszał, że ptaki mu zawtórowały.

Góry nigdy wcześniej nie wydały mu się tak wyzwalające.

Z zadumy wyrwało go znajome kwilenie. Odwrócił się i tym razem wyraźnie ujrzał cztery srebrzyste szczenięta porośnięte gęstym futerkiem, wyglądającym na miłe w dotyku. Nie wystraszył się, bo spojrzenia okrągłych czarnych oczu dogłębnie go rozczuliły.

– Nie mam nic dla was – odezwał się. Wilczki zaczęły strzyc uszami na dźwięk ludzkiego głosu. – Bardzo mi przykro.

Długo nie mógł oderwać wzroku od uroczych stworzeń. Zawałał się przez moment, ale w końcu wyciągnął rękę do szceniąt. Zaskoczyła go śmiałość, z jaką podeszły i dokładnie obwąchały brudną od ziemi dłoń. Gdy nie znalazły na niej jedzenia, ponownie zaczęły wpatrywać się w mężczyznę. Mógłby przysiąc, że z wyrzutem.

– Patrzy wam z oczu wilkiem! – zarechotał, choć wciąż ogarniał go niepokój na myśl o wilczycy. – Pora mi w drogę.

Oddalił się nieco z przekonaniem, że szczenięta odprowadzą go wyłącznie wzrokiem. Nie przygotował się na to, że zwartą grupą pójda jego śladem.

– A niech mnie... – Podrapał się po głowie.

Każdy jego krok równał się kilku krokom szceniąt, co rusz potykających się o własne łapy. Przez dłuższą chwilę rozglądał się nerwowo w obawie przed najgorszym. Jak na razie niebezpieczeństwo nie nadchodziło, ale wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Postanowił pogodzić się z nieplanowanym towarzystwem, wciąż jednak zachowywał czujność. Z początku wilczki biegły za nim,

aż w końcu dogoniły go i teraz dreptały tuż obok, ocierając się o jego nogi futerkiem miękkim niczym rhandyjski aksamit.

– Oswoję was jak psy – stwierdził z zadowoleniem. – Zamieszka-
kam z wami jak niegdyś alfarowie, będziemy razem sypiać, polo-
wać i... A niech mnie...

Zatrzymał się, a wraz z nim szczenięta. Zesztywniał na widok
tego, czego się wprawdzie spodziewał, ale miał cichą nadzieję, że
spotkanie to jednak nie nastąpi. Stała na wprost niego, w odleg-
łości zaledwie kilkunastu kroków. Mierzyła go przeszywającym
spojrzeniem niemalże czarnych, przechodzących w zieleń oczu.

Nigdy nie widział czegoś takiego. Grzbiet wilczycy tylko gdzie-
niegdzie pokrywała sierść, z wielu miejsc bowiem wyrastały...
tak, wzrok go nie mylił: widział liście tworzące zieloną szczecinę.
Włosy wokół oczu i nosa mieniły się tą samą barwą, nie były właś-
ciwie włosami, lecz najprawdziwszą trawą.

Zwierzę ruszyło bez pośpiechu, nie spuszczać wzroku z męż-
czyzny. Ten dopiero po chwili zauważył głęboką ranę w prawym
boku wilczycy, otwartą, lecz nie krwawiącą, nawet nie ropiejącą.
Cofnął się o krok, o mało nie potykając się o ciasno przytulone do
siebie szczenięta. W pierwszym momencie się zdziwił, że nie
wybiegły matce na spotkanie, jednak zaraz potem spostrzegł, że
w pełni dzielają jego niepokój.

Jeśli przypuszczenia mężczyzny okazałyby się słuszne... to
wciąż była ich matka. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do
tego, że odniosła ranę śmiertelną, już dawno musiała się wykrwa-
wić. Musiała być martwa.

– A niech mnie... – westchnął po raz nie wiadomo który, bo
oto dostrzegł na grzbiecie zwierzęcia kilka wróbli. Wyskubywały
spomiędzy zielonej sierści coś, co przypominało gąsienice, larwy
albo jeszcze inne robactwo. Tymczasem wilczyca nie zwracała na
to uwagi, zdawała się nie odczuwać uporczywego dziobania.

Stała w odległości dwóch, może trzech kroków od człowie-
ka. Pochyliła łeb i zaczęła nieśmiało węszyć. Nie patrzyła teraz

na niego, lecz na wilczki wciąż kłębiące się u jego stóp. Mężczyzna usłyszał kwilenie wadery, pełne żalu, jak ocenił. Szczenięta nerwowo wierciły się w miejscu, któryś mruknął piskliwie, a pozostałe mu zawtórowały. Matka zaskowyczała ponownie, głośniejsze i przeciąglej.

W końcu jeden wilczek odważył się podejść. Węszył w powietrzu, próbując uchwycić jakiś zapach, znajomy i bezpieczny. Wilczyca pisnęła, zbliżyła się do malca i pochyliła nad nim. Powoli zetknęli się nosami, raz, drugi, po czym szczeniak podskoczył radośnie i wydał z siebie przeszywający jęk, coś między szczekiem a wyciem. Pozostałe trzy podniosły uszy i puściły się pędem w stronę brata lub siostry. Matka obwąchiwała kolejno każde z nich, wymieniając się z potomstwem zawodzącymi powitaniem.

Mężczyzna przyglądał się temu nieruchomo. Nie odważył się nawet drgnąć, dopóki wilczyca nie odeszła wraz z młodymi. Pożegnała go krótkim, lecz przeszywającym spojrzeniem.

To mogło być podziękowanie. Chciał w to wierzyć, ale pewności nie miał.

– A niech mnie... – powtarzał w kółko.

Długo szedł niepewnym krokiem, rozglądając się w obawie, że spotka więcej istot pokrewnych wilczycy. Las ciągnął się w nieskończoność, opadał coraz niżej, wskazując tym samym, że do doliny było już niedaleko. Gdzieś wędrowiec słyszał jeszcze zawodzące ćwierkanie, lecz poza tym ogarniało go odprężające, choć odrobinę niepokojące poczucie całkowitej samotności.

Zagwizdał ponownie, skłaniając ptaki do naśladowania melodii. Zaczął od prostej, po czym przeszedł do bardziej skomplikowanych. Dźwięki ułożyły się w jego ulubioną pieśń, pieśń patriotów i wojowników. Odchrząknął i zanucił, świadomy swego nikłego talentu wokalnego, a raczej jego braku, pocieszał się jednak myślą, że okoliczna przyroda wybaczy mu to zaburzenie harmonii.

*Orzeł wzniósł się ponad drzewa,
Hej, Wolne Miasto Órn!
Wzgórza murem, honor tarczą,
Młodzi o twe ziemie walczą,
Hej, Wolne Miasto Órn!*

Zorientował się, że podskakuje do rytmu, udzielił mu się bojowy nastrój. Starał się zatrzeć nim wstyd, który nosił od kilku dni.

*Nie poskromią nigdy Orła,
Hej, Wolne Miasto Órn!
W godle ptak rozpostarł skrzydła,
Umknął wróg – na pewno przegra,
Hej, Wolne Miasto Órn!*

Nie było go tam, gdzie być powinien. Nie było go przy niej. Kolejną zwrotkę, ostatnią, którą znał na pamięć, zaśpiewał już ponuro, bez entuzjazmu, choć lubił ją najbardziej.

*Wzleciał nad nieznaną ziemią,
Hej, Wolne Miasto Órn!
Poprowadził tu wygnańców,
Wyrwał ich spod rąk oprawców,
Hej, Wolne Miasto Órn!*

Nucąc powtarzającą się melodię, mijał kolejne drzewa coraz rzadziej porastające las. W końcu dotarł do jego skraju, za którym ukazała się zapierająca dech w piersiach, niemal niekończąca się łąka pokrywająca lekko strome wzniesienie. W oddali zobaczył rozciągającą się u stóp pagórka kotlinę, Dolinę Kozią, którą przecinała cienka strużka Brea Issy, mającej nieopodal swój początek. Najdłuższa rzeka w kraju, zwana Długą, ciągnęła się przez Jord od

południa po najdalszy kraniec północy, gdzie wpadała do morza. Dalej za doliną piętrzyło się kolejne wzniesienie – potężna góra, ciasno usiana drewnianymi domkami sprawiającymi wrażenie unoszących się ponad łąką. To musiała być Hugra, znana również jako Miasto Okien, największe skupisko pasterzy w całych Górach Niemierzonych.

Podążył przed siebie, wyławiając kolejne szczegóły oszałamiającego krajobrazu. Stąpał po miękkiej trawie, której zieleń zdawała się intensywniejsza niż w jakimkolwiek znanym mu miejscu. Z daleka dostrzegł stadko pasących się kóz, powiódł więc wzrokiem w poszukiwaniu pilnującego je pasterza. Po chwili odnalazł go, a raczej ją, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na trawiastym dywanie. Rozpoznał w niej kobietę po długim, rudawym warkoczcu targanym przez wiatr, a także koralowej sukni. Gdy podszedł nieco bliżej, zobaczył również czerwone korale zdobiące dekolot.

Zauważyła go, jednak nawet się nie poruszyła. Kozy za to zaczęły nerwowo przebierać nogami, co rusz któraś zameczała ostrzegawczo. Mężczyzna minął je, starając się żadnej nie trącić, co okazało się nie tak łatwym zadaniem. Dziewczyna nie spuszczała z niego wzroku, mrużąc powieki pod wpływem słońca.

– Czołem! – wykrzyknął radośnie, lecz z nutą niepewności.

– Hę? – Pasterka wykrzywiła twarz w nieładnym grymasie.

– Ee... uszanowanie pani. – Spuścił wzrok, świadomy popełnionej gafy.

– Uszanowanie. – Nie spodobał mu się jej głos, miał w sobie nutę wrodzonej pretensji. – Do miasta, jak mniemam?

– Ano, do miasta. O nocleg pytać.

– Grosza macie? – spytała, znów przybierając ten drażniący ton. – Darmo nie znajdziecie. Trudne czasy nadeszły.

– A bo to kiedyś nie mieliśmy trudnych? – zarechotał, jednak zaraz spoważniał, bo pasterce najwyraźniej nie było do śmiechu. – Może wiecie, gdzie warto się zatrzymać na dłużej, gdzie dobrze nakarmić, kąpiel przygotują...?

– A wyście co, pałacowi? – Uśmiechnęła się po raz pierwszy, lecz z pewnością złośliwie. – Kąpiel to macie darmo w Brea Issie. A jadło wszędzie dobre i syte.

– Oczywiście – powiedział z grzeczności, nie z przekonania. – Dziękuję i dobrego dnia życzę!

Nie odpowiedziała. Mężczyzna nie wiedział, czy przyjąć to jako objaw złych manier, czy też po prostu tutejszy sposób bycia.

Wkroczył na kamienny most łączący brzegi Długiej Rzeki. Spośród jej szumu doszły go rozmowy i śmiechy rybaków. Zobaczył, jak jeden walczy z szarpiącą się linką wędki, podczas gdy dwóch pozostałych prowadzi mocno ożywioną dyskusję. Pierwszy w końcu uporał się ze zdobyczą i dopiero triumfalnym okrzykiem zwrócił uwagę towarzyszy.

– Na bogów, cóż to?! – wychrypiał jeden. – Jak długo po świetle bieżam, takiej ryby żem nie widział!

– Co też opowiadacie, toż to karp najpowszedniejszy – burknął drugi.

– Jako karp? Przyjrzyjcie się dobrze! – wrzasnął znów tamten, oglądając okaz. – Krótszy przecież, a i wąsików brak, wąsików!

– Sam jesteś wąsik! – ryknął właściciel zdobyczy. – Zdejmijcież to cholerstwo ze mnie!

– Tak to się kończy, jak się nieuków do roboty śle – mruknął pierwszy, pomagając drugiemu zepchnąć rybę z towarzysza. – Karp nie karp, Rybiarz będzie rad.

– Zrymowałeś! – zarechotał drugi, wygładzając palcami wąsy.

– Uszanowanie!

Wszyscy trzej spojrzeli ze zdumieniem w stronę mostu, skąd zawołał nieznajomy. Młody, na oko dwudziestoletni przybysz wyróżniał się bladoniebieskimi oczami oraz czarnymi włosami sięgającymi podbródka pokrytego nieznacznym zarostem. Odziany był w skórzany kaftan narzucony na granatową tunikę, a także lniane spodnie oraz sięgające kostek trzewiki. Uwadze miejscowych nie uszedł przytroczony do pasa miecz.

Rybacy odpowiedzieli na powitanie wymianą spojrzeń. Dopiero po chwili odezwał się jeden z tych, którzy wyklócali się o gatunek złowionej ryby.

– Witajcie, cny rycerzu – rzucił z udawanym patosem, po czym zarechotał na cały głos wraz z towarzyszami. – Czemuż zawdzięczać mamy twą... eee... obecność...?

– Miejsca na nocleg szukam. – Przybysz natychmiast przerwał tę błazenadę. – Niedrogo, a przyzwoicie.

Spowaźniał jeszcze bardziej, gdy odpowiedział mu kolejny wybuch śmiechu, od którego rzekomy znawca karpi cały się opluł.

– Patrzcie no! – zaryczał ten sceptyczny. – Niedrogo, a przyzwoicie. Zależy, coście zwykli nazywać przyzwoitością!

Uspokoił się nieco, choć na ich twarzach wciąż gościły złośliwe uśmieszki.

– Coby się dało dobrze pojeść i wyspać – odparł nieznajomy, pamiętając, by tym razem nie wspomnieć o kąpieli.

– Pojeść. – Sceptyczny wyszczerzył nierówne zęby. – Pojeść to jeno ryb pojecie. A te najlepsze u Rybiarza, w gospodzie, co się „Pod Rybim Młotem” zowie. Znajdziecie prędko, bo i ludno tam, i rzeki blisko.

– Dziękuję, mości... towarzysze! – Przybysz pomachał na pożegnanie i ruszył dalej przez most, nie czekając na odpowiedź.

Drewniane domy piętrzyły się jeden nad drugim, jak gdyby każdy kolejny wyrastał z dachu poprzedniego. Mężczyzna podążył stromą ścieżką prowadzącą ku górze, gdzie wpadł prosto w zgraję psów ścigających kota. Ludzi nie było tu za wiele, natknął się zaledwie na starca i jego kozę ciągnącą wóz pełen warzyw. Przed jednym z domów dostrzegł kobietę rozwieszającą pranie, z oddali zaś dały się słyszeć dziecięce krzyki.

– Przepraszam – zaczął gospodynię, która od dłuższej chwili na niego zerkiała. – Którędy dotrę do... „Rybiego Młota”?

– Za rogiem w prawo. – Wskazała palcem kierunek, nie prze-
stając lustrować przybysza. Nie był pewien, czy ciekawość ta miała
przychylny, czy też złośliwy charakter.

– Dziękuję pięknie. – Skłonił się lekko, wywołując u kobiety
zdumienie.

Właściwie nie musiał pytać o drogę, już bowiem z daleka roz-
poznał szyld niedający się pomylić z żadnym innym. Spodad wy-
rytego w drewnie napisu patrzyło coś, co musiało być rybią głową,
choć po prawdzie niewiele miało z tym zwierzęciem wspólnego.
Pysk stworzenia nienaturalnie rozciągał się na boki, z jego koń-
ców spoglądały ledwie widoczne ślepia.

Jeszcze zanim podszedł, dobiegł go gwar rozmów i przeszywa-
jący do łez rybi odór. Wstrzymał oddech, zanim popchnął drzwi
wejściowe, choć miał świadomość, że jeśli zamierza spędzić tu
więcej niż kilka chwil, musi oswoić się ze smrodem.

Wnętrze okazało się przestronne, dzięki czemu mieściło się
tu sporo gości. Gęsto ustawione stoły w większości zajmowali
miejscowi pasterze, gdzieniegdzie jednak dało się dostrzec jedno
czy dwa wolne miejsca. Mężczyzna dopiero po chwili dostrzegł
szynkwasa, ciasno obstawiony chuderlawymi jegomościami, którzy
się nawzajem przekrzykiwali.

– Trzy i pół, karp na stół! – ryknął ktoś zza lady, najpewniej
oberżysta. Zaraz po tym dał się słyszeć świst wbijanego w mięso
noża. – Królewski, proszę was, nie żaden tam golec!

Przybysz rozejrzał się bezradnie, jednak nie znalazł innego spo-
sobu na dostanie się do szynkwasu niż przepchanie się pomiędzy
chuderlawcami.

– Halo, panie oberżysto! – krzyknął, ale nie dość głośno, bo sło-
wa rozmyły się w fali wrzasków i śmiechów. – Panie Rybiarzu, hej!

Mocno się zdziwił, kiedy naraz zjawilo się przed nim wiel-
kie, niemal idealnie okrągłe chłopisko ubrane w poplamiony od
tłuszczu fartuch, ciasno opinający kształty. Szczególną uwagę

zwracał nietuzinkowy wąs, długi i cienki, lekko zawijający się na końcach.

– Moje uszanowanie, wybaczcie czekanie – odkrzyknął śpiewnie, uśmiechając się tak sympatycznie, że aż niepokojąco. – Czym gościowi służyć, by na grosz zasłużyć?

– Noclegu szukam – odparł przybysz, z trudem starając się nie wpatrywać w niesforeną pętelkę pod nosem karczmarza. – I dobrego jadła. Mówili, że u was najlepiej.

– Dobrze mówili, rad żem wielce, żeście tu przybyli!

– Często tak rymujecie?

– Tylko jakżem w dobrym humorze. A to zdarza się rano, w wieczór i południe! – zarechotał, najwyraźniej dumny z żartu. – Jadła u nas bez liku, dorszy, okoni, pstrągów i linów.

– Dajcie, co wam zbywa, lichu u mnie z groszem.

– Ejże, przybyszowi jadła szczędzić nie będę! – Gospodarz klasnął w dłonie.

– Nie zrymowało się wam. – Nieznajomy uśmiechnął się zaczepnie.

– Jako nie, jak tak! Lada moment świeżego jadła naniósł moi kamraci, to i pojecie syto... a niech mnie, że dobry rym był to!

Czarnowłosy zdusił w sobie kąśliwy komentarz, bo mimo wszystko nie chciał nadużywać sympatii oberżysty. Kątem oka dostrzegł, że przy szynkwasię zwolniły się dwa miejsca, więc natychmiast zajął jedno z nich.

– Ryyybeczki! – zawołał śpiewnie karczmarz w stronę zaplecza, skąd zaczął dobiegać szmer krzątania. Zaraz potem wyszedł, zacierając dłonie z podeksytowania.

Przybysz rozpoznał głosy spotkanych przy moście wędkarzy. Choć nie rozróżniał pojedynczych słów, domyślił się, że burzliwa rozmowa dotyczy się złowionego okazu.

Podczas długiego oczekiwania na posiłek rozglądał się po karczmie, wodząc wzrokiem po zgromadzonych tu ludziach. Wszyscy wydawali mu się podobni, jak gdyby byli spokrewnieni. Jego

ciemne włosy wyróżniały się spośród przeważającej tu rudości. Dziewczęta i kobiety miały w zwyczaju zaplatać jeden warkocz lub dwa i przyozdabiać je kolorowymi sznureczkami wiązanymi w kokardki. Wiele z nich nosiło również naszyjniki i bransoletki przewleczone koralikami w najróżniejszych barwach, skrzętnie dopasowanych do koloru kokardek. Panowie zaś z reguły mieli na sobie brązowe kubraki narzucone na zwiewne tuniki, a ich kapelusze spoczywały obok piwa i jadła.

– Cóż to? – spytał czarnowłosy, gdy jego oczom ukazał się talerz, zgodnie z obietnicą syto wypełniony dobrze wysmażonym rybem filetem. Od soczystego aromatu aż zakręciło mu się w głowie.

– Moi kamraci upierali się, że karp. Ale nie! – odezwał się oberżysta. Przybysz poczuł kropelki śliny na twarzy. – Żaden to karp, jeno boleń! Pospolity, gwoli ścisłości.

– Ryba jak ryba – mruknął mężczyzna, zabierając się do jedzenia.

– Może dla was, ale nie dla mnie! – W dotąd radosnym tonie oberżysty dało się wyczuć nutkę oburzenia. – Zważcie na to, że nie znajdziecie dwu tych samych ryb. Dajmy na to taki boleń. Długi prawie jako karp, ale wąsów mu brak! – Czarnowłosy spodziewał się, że gospodarz zakręci swój znak rozpoznawczy wokół palca, ale ku jego zdziwieniu nie uczynił tego. – Bolenie rzadsze są, choć pospolitymi zwane.

– Szczwane... – mruknął przybysz i uzmysłowił sobie, że ułożył rym.

– Łuski mają małe, a karp duże. Płetwa u góry mniejsza niżli u karpia. Ubarwienie jednak u obu zielone, szarawe czasem. Charaktery za to różne, skrajne rzecz można. Karpia zowie się walecznym i przebiegłym, węzowym gatunkiem. Boleń zaś za samotnika uważany, kocim sposobem pływa własnymi prądami.

– Rymy się wam posypały – zaśmiał się przybysz. – A tak na poważnie, dobrzeście w rym... rybach obeznani.

– A jakże, temu żem Rybiarzem zwany, miano dawne zapomniawszy. Noo, jako oceniacie? Smaczny ten boleń?

– Jeszcze jak. – Czarnowłosa obtarł rękawem oblepione tłuszczem wargi. – Powiedzcie mi, bom ciekaw. Ten rybi młot, co w nazwie stoi, to jakaś miejscowa legenda?

– A gdzie tam legenda! – Gospodarz machnął ścierką. – Prawda to, w dalekich morzach północy żyje ryba, co głowę ma jak młot!

– Pewnieście? – Przybysz uśmiechnął się zuchwale. – A był kto z was w tamtych stronach, żeby potwierdzić?

– Opowiadali o niej. – Oberżysta przybrał coś na kształt poważnej miny. – Pływacy, co na północy żeglują. Tako mię zachwycała, żem jej miano karczmi dał. Hejże, może piwa do tego?

– A po ile?

– Nie baczcie na to, piwa szczędzić nie lza!

Za moment przed przybysem stał już okazały kufel.

– Hojnieście. – Wypił potężny łyk, jednak zaraz odsunął naczynie. Choć to, czego właśnie się napił, niewątpliwie było piwem, smakowało raczej jak rybi tłuszcz. – Na nocleg może już nie starczyć.

– No cóż, nie powiem, tanio nie przyjmuję, ale to wam różnicy nie robi, bo miejsca brakuje – westchnął smutno karczmarz. Nie pocieszył go nawet fakt, że tym razem rym wyszedł mu mimowolnie. – Ale znajdziecie nieopodał, jak nie w oberży, to po domach pytać możecie, o gościnę prosić. Chyba że... – Pochylił się i zniżył głos. – Wiedźmę wilcy wezmą.

– Wiedźmę?

– Ciszey, do młota! Wiedźma izbę zajmuje, a bywa rzadko. Kto wie, czy w cholerę nie poszła.

– Co za wiedźma?

– Wędrowną mędr... mędra... mędrzec, jeno baba. – Odchrząknął nerwowo. – A przynajmniej tak o sobie gada. Wieści ze świata przyniosła, będzie już z miesiąc temu, i dalej w mieście przebywa. Mówią, że szemrane interesy w tych stronach ma.

– Ehe – mruknął lekceważąco czarnowłosa. – Czarów się wszystkim naraz zachciewa. Jak mniemam, tutaj też wieść doszła?

Że śnice nawiedzają nocą miasta, a mokradlaki topią wędrowców? Że się magia na nowo zrodziła?

– Nie wierzycie – stwierdził sucho oberżysta.

– Nie wierzyłem – odparł i polecił gestem, by Rybiarz jeszcze bardziej się pochylił. – Dopóki nie zobaczyłem. Nieopodał, w tym lesie. Wilczyca ze śmiertelną raną, porośnięta liśćmi.

Karczmarz westchnął głośno, po czym zakaszłał nerwowo.

– Nie może być. – Rozdziawił szeroko usta. – Mości panie, nie może...

– Mów mi Gallah.

– Mości Gallahu, nie może być! – wykrzyknął, przykuwając uwagę siedzących w pobliżu gości. – Nie może być – powtórzył, tym razem szeptem.

– Nie musicie mi wierzyć. Sam bym sobie nie uwierzył – odparł z powagą Gallah, po czym zdobył się na kolejny, niewielki łyk piwa. – Ale com widział, widziałem. Martwą wilczycę, której nie rozpoznały własne szczenięta. Wilczycę, z której ptaki wyzerały robactwo. Wilczycę, która się na mnie nie rzuciła, choć miała ku temu powód. – Odstawił kufel i skrzywił się mocno. – Jak myślicie, czy tego wiedźma może szukać? Dowiedziała się, że trupy zaczęły przemieniać się w skelfie?

– Nie wiem, mości Gallahu. – Oberżysta wciąż był głęboko wstrząśnięty. – Ale teraz to się kupy trzyma. Wiedźma się za skelfiami ugania. Kto wie, czy zaczarować ich nie umie.

– Szczerze wątpię – mruknął obojętnie Gallah.

– Mieście przeto baczenie – powiedział Rybiarz z naciskiem. – Żle jej z oczu patrzy. Jakoby sama Śmierć weszła w postać człowieka.

– Nie zamierzam się tu z nikim bratać. Nie zrozumcie mnie źle, po prostu szukam ustronnego miejsca, coby w samotności pobyć.

– Rozumiem... Tym lepiej, że izby dla was nie mam. Możecie się od wiedźmy trzymać z daleka.

– Dziękuję, panie Rybiarzu. – Gallah wypił jeszcze jeden łyk. Obiecał sobie, że to będzie ostatni. – Ile płacę?

– Trzy i pół za bolenia – policzył na palcach karczmarz – i dwa... nie, półtora za piwo. – Puścił oko do przybysza. – To będzie czter... równe pięć eyrów.

Gallah wydobył z mieszka wyliczoną sumę, ze smutkiem oceniając pozostałą zawartość.

– Wpadnę jeszcze przy okazji – rzucił z entuzjazmem. – Jak nie na jadło, to pogadać o tym i owym.

– O rybach! – wykrzyknął karczmarz. – Okoniach, trociach, węgorzach i tołpygach!

Gdy tylko drzwi karczmy zamknęły się za Gallahem, a panujący wewnątrz hałas ucichł, ogarnął go błogi spokój. Wziął kilka głębokich oddechów, chcąc pozbyć się zapachu ryb, którym, miał wrażenie, zdążyły przesiąknąć mu ubrania.

Ponownie znalazł się na stromej ścieżce i ruszył ku górze, mijając bliźniaczo podobne do siebie domy. Miasteczko nieco się ożywiło, jednak panujący tu gwar nie mógł się równać z tym w gospodzie „Pod Rybim Młotem”. Gallah nie oddychał już tak głęboko, długo nie nacieszył się świeżością, bo doszedł go odór koziej sierści, niemniej odrażający od rybiej woni. Spostrzegł, że przechodnie mierzą go podejrzliwym wzrokiem, zerkają z ukosa nie tyle na kolor włosów, ile na noszony u boku miecz.

Rozglądał się w poszukiwaniu innej oberży, jednak „Pod Rybim Młotem” jak dotąd był jedynym tego typu przybytkiem. Zaczynał się obawiać, że nie ma co liczyć na więcej. Wspinaczka stawała się coraz bardziej wycieńczająca, pojedyncze kosmyki przyklejały się Gallahowi do mokrego czoła.

Zmartwienie okazało się bezzasadne, choć dotarcie do karczmy „Koziorożec” kosztowało go sporo wysiłku. Zapewne nie od razu by ją zauważył, gdyby wcześniej coś, a raczej ktoś nie przykuł jego uwagi. Zasłonił dłonią oczy przed promieniami słońca, by lepiej się przyjrzeć.

Zza budynku wyłoniła się wysoka postać odziana w czerń. Blade, niemal całkowicie białe oblicze kobiety okalały krucze

włosy, z których tylko cienki kosmyk przy twarzy zapleciony był w warkoczyk. Gallah nie mógł odwrócić wzroku od jadowicie żółtych oczu podkreślonych mocnym makijażem, wąskiego nosa i wydatnych ust. Długa do samej ziemi, podkreślająca kształty suknia, przyozdobiona futrzaną narzutką, lekko zafalowała na wietrze, a wraz z nią wyróżniający się na białym dekolcie wisiorek w kształcie klepsydry. Wypełniał ją nie brązowawy, jak można było się spodziewać, lecz lazurowy piasek.

Kobieta rozglądała się nerwowo, prowadząc przed sobą zakapturzoną osobę – wyjątkowo pokażnej i barczystej postury chłopca. Widok ten na tyle zaintrygował Gallaha, że w pierwszym momencie nawet nie poczuł na sobie spojrzenia – jej spojrzenia, pełnego gniewu. Zanim jednak zdążył zareagować, nieznajoma pociągnęła dziecko za rękę i zniknęła za drzwiami „Koziorożca”.

A niech mnie, pomyślał. Wiedźma.

To, co przed momentem zobaczył, tak bardzo nie pasowało do lokalnego kolorytu, że wydało mu się zwykłym przywidzeniem. *Nie chciała być zauważona*, wywnioskował, *stąd ta nienawiść w oczach*. Zawahał się, czy na pewno skierować kroki do karczmy i narazić się na dalsze nieprzyjemności, czy też poszukać czegoś innego, jednak obolałe nogi podyktowały mu jedyną słuszną odpowiedź.

Oberża niewiele różniła się od przybytku Rybierza, chyba tylko mniejszym tłumem i o wiele szczuplejszym, przyszczatym karczmarzem. Gallah powiodł szybko wzrokiem po zajętych stolikach, jednak nie zauważył kobiety w czerni.

- Słucham kamrata! – Oberżysta wyszczerzył się szeroko.
- Noclegu szukam, niedrogiego.
- Znajdzie się co u nas, znajdzie – odparł entuzjastycznie. – Pół korony za noc.
- To nie tak tanio... Ale niech będzie. Teraz napiłbym się miodu.
- Piwo u nas tańsze. – Karczmarz puścił oko.
- Niech będzie.

Usiadł w kącie, nie chcąc rzucać się miejscowym w oczy. Trunek nie okazał się zły, ale Gallah pijał lepsze, w dodatku bardzo chciało mu się tego miodu. Tak czy inaczej, cieszył się, że miał przy sobie jakikolwiek grosz.

Długo nie siedział sam. Niemale było jego zdumienie, gdy niktąd zjawiała się znajoma już postać. Zmierzyła go tak jadownicie, że wszystko w nim zadrżało, a przecież nie miał w zwyczaju obawiać się kobiet.

– No więc jestem – oznajmiła powoli i zimno, stawiając przed sobą kufel z grzany winem. Gallah rozpoznał trunek po korzennym zapachu. – Kto cię przysłał?

Zamrugął kilka razy, nie kryjąc zdziwienia. W pierwszym momencie nie zauważył, że do stolika dosiadł się również chłopiec, już z odkrytym kapturem.

– Głuchy jesteś? – syknęła. – Kto cię nasłał? Elding?

– Eee... – Gallah podrapał się po głowie, uciekając wzrokiem. – Wybacz, ale kompletnie nie wiem, o czym mówisz.

Odsunął się gwałtownie, gdy nieznajoma niespodziewanie uderzyła otwartą dłońią o blat stołu. Kątem oka dostrzegł, że kilku gości się odwróciło, ale wiedział, że nie może liczyć na wsparcie z ich strony.

– Nie mam pojęcia, kim jesteś, przysięgam na wszystkich bogów – rzucił bezzadnie, gdy wciąż mierzyła go podejrzliwie.

– Ehe – burknęła. – Nie wyglądasz mi na trusię. Co robisz w Hugrze?

– Zwiedzam – odparł, zadzierając głowę. – Poznaję lokalny koloryt.

– Żartowniś się znalazł. Najemnik, jak mniemam po aparycji.

– Przysięgam... a niech mnie, masz coś na sumieniu? – spytał z pretensją. – Zresztą nieważne. Nawet jeśli, obchodzi mnie to tyle, co świńska dupa.

– Mniemam, że na talerzu sporo cię ona obchodzi. Czyli mam uwierzyć, że nikt cię nie nasłał?

Gallah nie odpowiedział. Dopiero teraz przyjrzał się barczystemu chłopcu. Dzieciak nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat, choć postura sugerowała wyższy wiek. Rudawe, poskręcane w chaotyczną czuprynę włosy wskazywały na pochodzenie z Hugry bądź innego górskiego miasteczka. Na białych policzkach wyróżniały się gęsto wysypane piegi, usta zaś wykrzywione były w nienaturalnym uśmiechu, którym chłopiec obdarzał przemierzającą stół mrówkę.

Ale nie to przykuło szczególną uwagę Gallaha. Spod rękawów dziecięcej tuniki wyłaniały się dziwne przebarwienia na skórze, szare i zmatowiałe. Wyglądało to jak wysypka albo zakażenie, o którym rycerz nigdy nie słyszał. Podobne plamy dostrzegł na szyi i podbródku.

Dzieciak zauważył, że nieznajomy mu się przygląda. Zmierzył go ciekawskim wzrokiem i odwzajemnił uśmiech.

– Zadałam ci pytanie. – Kobieta ponownie uderzyła w stół.

Gallah znów podskoczył w miejscu, ale nie wystraszył się już tak bardzo.

– Co mu jest? – spytał, starając się, by zabrzmiało to jak najdelikatniej.

– Że co?

– Te plamy... To jakaś odmiana ospy?

– A ty co? Medyk?

– A ty? Wiedźma?

– Czyli słyszałeś o mnie! – zaśmiała się dumnie. – Tak się składa, że wpisałam się w lokalny koloryt. Nie wszyscy są z tego powodu zachwyceni.

– Zdążyłem zauważyć. – Gallah przypomniał sobie o tanim piwie i pociągnął łyk. Napój był wprawdzie rozwodniony i gorzki, ale z braku laku mężczyzna wołał taki niż przesiąknięty rybim odorem.

– Pozwalam tym prostakom wierzyć, że rzeczywiście mają do czynienia z wiedźmą. – Kobieta poszła śladem rycerza i napiła się wina. – Czują wtedy większy respekt.

– A nie jesteś nią? – Gallah wołał się upewnić.

– To zależy. – Uśmiechnęła się zagadkowo. Jadowite oczy zdawały się płonąć.

Rudy chłopiec kompletnie nie był zainteresowany rozmową. Wciąż bardziej zajmowała go krążąca po stole mrówka.

– Co do tej wiedzy – zagałł Gallah, odczuwając lekkie wyrzuty sumienia. – Nie zrozum mnie źle, tak nazwał cię ten Rybiarz...

– Kto?

– Rybiarz. Oberżysta spod „Rybiego Młota”.

– Aaa, wąsik, poeta rybnego przemysłu? Co o mnie mówił?

– Nic szczególnego... Napomknął coś o szemranych interesach, paraniu się czarami...

– Ach, no jasne. – Uśmiechnęła się niepokojąco. – Tutejszego karczmarza też musiałam wpierw przekonać do swojej osoby. A ty? Kim jestem według ciebie?

– Cudzoziemką... która z jakichś powodów ukrywa tego chłopca. – Odwzajemnił chytry uśmieszek. – Mylę się?

– Nie – odparła bez namysłu. – Masz rację, porwałam go.

– Porwałś? Rybiarz nie wspomniał o chłopcu...

– On niewiele wie – rzuciła z przekąsem. – Widzi tylko te swoje ryby. Smaży je, wędzi, pieści...

– O co tu chodzi? Dlaczego to robisz?

Kobieta nie odpowiedziała od razu, skupiona na gładzeniu ramienia chłopca. Robiła to z nieprawdopodobną czułością, o którą rycerz by jej nie posądzał.

– To nie jest zwykły dzieciak – powiedziała, nie odwracając wzroku od podopiecznego. – Pewnie mi nie uwierzysz, ale... to nawet nie jest ludzkie dziecko. Przynajmniej nie w pełni.

Gallah rozdziawił usta, wciąż z zadziwieniem śledząc jej delikatne gesty. W końcu zatrzymał wzrok na szarej plamie znaczącej szyję i podbródek chłopca. Nagle go olśniło.

– Kamień – westchnął, nie dowierzając samemu sobie. – Zamienia się w kamień.

Kobieta długo milczała, jak gdyby nie usłyszała jego słów.

– Wierzysz w baśnie? – spytała.

– Wierzę – odparł poważnie i dodał w myślach: *Od dzisiaj wierzę.*

Spojrzała na niego przenikliwie. W żółte oczy wkradł się lęk, gniew opuścił ją już na dobre. Była ładniejsza, gdy się nie denerwowała.

– Co się z nim stanie? – spytał z troską rycerz. – Jest dla niego szansa?

– Jest – głos jej się załamał. – Ale nie to grozi mu najbardziej. To bękart. Trollowy bękart, rzecz jasna.

Gallah spodziewał się to usłyszeć, ale mimo wszystko nie mógł się temu nadziwić. Przyglądał się uważnie chłopcu, tak bardzo ludzkiemu.

– Zastanawiasz się pewnie, czemu nie jest podobny do trollowego ojca. – Bezbłędnie odgadła jego myśli. – Nie wierz we wszystko, co mówią ci baśnie. Nos może i owszem jest niezgrabny, ale po tatusiu ma też szkliste oczy. No i plamy. – Powiodła palcem po szarym przebarwieniu.

– Czyli jego matka...

– Zdradziła męża, a jakże. Elding groził, że wyniesie dzieciaka w góry i rozrąbie mu łeb, taki był wściekły. Zaczął się brzydzić własnej żony.

– A niech mnie... – Gallah chwycił się za głowę. – Jak do tego doszło? Troll porwał tę kobietę?

– Nie wierz we wszystko, co mówią ci baśnie. – Uśmiechnęła się słodko. – Czemu nie zapytasz, czy to kobieta nie porwała szarego człowieka? Bo mogła porwać, czyż nie? Wdać się w zakazany romans, nieświadoma konsekwencji?

– A niech to... – Gallah oparł się na obu dłoniach. – I co z nim, wywieziesz go za góry?

– To niełatwa sprawa. – Kobieta spoważniała. – Próbowałam temu zaradzić, odnaleźć trollowego ojca, ale na próżno. Trzymają się z dala od ludzi, taka ich mać.

- No właśnie, a matka? Dalej chce go wychowywać?
- Matka jak każda matka: życie by za niego oddała. Jak widzisz, Fjolli jest trochę niespełna rozumu, pewnie po ojcu, ale to nie przeszkadza, żeby dorastał wśród ludzi. – Przysunęła chłopca bliżej siebie i objęła go czule. – Tak długo mieszkał w Hugrze i nikomu swoją przywarą krzywdy nie zrobił. Musi, rzecz jasna, unikać pełnego słońca, nie wychodzić na zewnątrz w południe, chować twarz pod kapturem. Tylko w ten sposób skamienianie nie będzie postępować.
- Czyli problemem pozostaje ojczym – stwierdził Gallah.
- Nie jestem swatką, żeby znać się na małżeńskich zwadach. A tu tylko o to idzie, żeby chłopcu nie stała się krzywda.
- Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytał z zaciekawieniem. – Co masz z nim wspólnego?
- Nie twoja to rzecz – odparła grzecznie, lecz stanowczo. – Ratuje go od okrutnego losu, zwykły ludzki odruch.
- Rozumiem – powiedział Gallah, choć nie do końca wierzył. – Co więc zamierzasz?
- Chciałam ukryć chłopca i rozmówić się z Rigne, jego matką. W razie potrzeby pomogę jej uciec.
- Nie lepiej przekonać ojczyma?
- Nie ufam mu – warknęła, najwyraźniej zła na samą myśl o mężczyźnie. – Muszę mieć pewność, że Fjolli będzie bezpieczny pod jego dachem.
- Wychował go jak syna – stwierdził z przekonaniem Gallah. – Nagle miałyby pragnąć jego śmierci?
- Nie chcę kusić losu. – Oczy kobiety nieco się zaszklily. – Nie chcę wystawiać Eldinga na pokusę, że któregoś dnia... że chłopiec będzie mu ciągle przypominał. Że nie zniesie jego widoku.
- Gallah nie odpowiedział. Musiał przyznać jej rację.
- Ona wiedziała? – zagadnął po chwili. – Ta kobieta wiedziała, że sypia z trollem?
- Uświadomiłam ją dopiero niedawno. Zwierzała mi się, jak zresztą wiele tutejszych kobiet, które zapraszają mnie do siebie

pod pretekstem wyleczenia tego i owego. Spragnione są wieści ze świata. Wszystkie wierzą, że magia uleczy ich problemy.

– Więc to nieprawda? Nie jesteś wiedźmą?

– Wolę określenie „mędrzyni”. – Uniosła lekko kąciki ust, na których Gallah coraz częściej zawieszał wzrok. – Dzielę się z innymi wiedzą. A wiedza to nie to samo co magia.

Powiódł wzrokiem niżej, na dekolot ozdobiony wisiorkiem w kształcie klepsydry. Wziął głęboki oddech.

– Zostań z nim – zaproponowała. – Rozmówię się nazajutrz z Rigne.

– Tutaj? – Spojrzał na nią z ukosa.

– Proszę cię. – Przybrała pokorny ton. – Możesz przenocować u mnie, „Pod Rybim Młotem”... na podłodze, rzecz jasna, ale przynajmniej pod dachem.

– Nie chcę być posądzony o współudział – oznajmił z powagą. – Powiedzą, że to ja wykradłem dzieciaka.

– Teraz cię strach obleciał? – Żółte oczy ponownie zapłonęły. – Po tym, jak ci wszystko wyśpiewałam, chcesz tak po prostu udać, że o niczym nie wiesz? Jesteśmy tu obcy, ty i ja. Tylko dlatego ci zaufałam.

– Dobrze, w porządku – odpowiedział łagodnym tonem i uspokajającym gestem. – Ale nie tam. Tutaj. I... opłacisz nam nocleg.

– Zgoda – odparła zimno, lecz z uśmiechem. Uścisnęła dłoń Gallaha, drugą zaś przycisnęła do siebie półtrolla. – Tylko nie wspominaj oberżyskie o tej sprawie, niech Fjolli nie rzuca się zbytnio w oczy.

Mężczyzna przytaknął.

– Wiesz, zastanawia mnie twój akcent... Nie wychowałeś się w pierwszej lepszej wiosce, jak mniemam?

– Nie bardzo mogę mówić, skąd jestem – odparł wymijająco. – Im mniej ludzi wie, tym lepiej.

– Aaa... – westchnęła, a po jej minie wywnioskował, że zgadła. – Co tu robisz, dzielny rycerzu, kiedy Wolne Miasto Órn pochłaniają płomienie?

Nie pomyliła się. Mocniej zacisnął dłoń wokół kufla i odwrócił wzrok.

– No co? – Zamrugła zalotnie. – Teraz twoja kolej na zwierzenia. O mnie już co nieco wiesz, a ja o tobie nic. Ach, no może z wyjątkiem imienia, zachowajmy konwenanse... Alexia.

– Gallah. Masz niespotykane imię... Twój akcent nie przypomina żadnego z tych, które znam.

– Pochodzę z daleka. – Najwyraźniej kobieta również nie chciała zdradzać zbyt wiele. – Ale w Ōrn bywałam nieraz. Wielu tam – chrząknęła ostentacyjnie – mniej lub bardziej zagorzałych patriotów. Jak mniemam, należysz do tej pierwszej grupy?

– Cóż, niezupełnie. To trochę bardziej skomplikowane.

– W porządku, obejdę się smakiem. – Napiła się wina, nie spuszczając wzroku z Gallaha. – Wiesz, przypomniała mi się pewna stara sentencja. Jak to szło? Ten, który sądzi, że może żyć wiecznie, unikając wojny, jest człowiekiem nieroztropnym. Lecz nawet jeśli ochroni go broń, nie ocali go starość.

Gallah upił łyk piwa, by uniknąć natychmiastowej odpowiedzi. Przenikliwość Alexii zaczynała go poważnie niepokoić.

– Ja z kolei słyszałem – rzucił w końcu – że tylko głupi się nie boi.

– A więc to strach cię tu przywiódł? Przed czym? Przed Śmiercią?

– Dziwi cię to? – Postanowił nie zgrywać śmiałka.

– Ani trochę. – Uśmiechnęła się, zaskakująco niewinnie. – Śmierć to w końcu najstraszniejsza z bogiń, z jej mrocznej pieśni gatunek ludzki miał swój początek. Anah wierzą, że to ona stworzyła Czas, by nas uwięzić, wyznaczyć początek i koniec naszemu istnieniu. Nie, wcale się nie dziwię, że obawiasz się prawdziwego, nie zmyśłonego.

– To Śmierć przywłaszczyła sobie skelfie? – spytał, choć po prawdzie znał odpowiedź. – Zwierzęta, które tragicznie zginęły i nie zostały spalone?

– Widziałeś je – powiedziała bez śladu zdziwienia. Gallah zaczął się obawiać, czy Alexia nie czyta mu w myślach. – Zbłąkane

dusze, które nie mogą dołączyć do orszaku Aen Tre, najpiękniejszego z drzew.

– A więc to prawda. Trolle, skelfie... To były legendy, baśnie na dobranoc. Jak to się stało, że te stworzenia wróciły? Gdzie przebywały dotychczas?

– Nasi przodkowie poznali je i wygnali, myśląc, że wymrą. Ale magia nigdy nie zniknęła. Pozostawała tylko uśpiona. Coś sprawiło, że wybudziła się z długiego snu.

– Myślisz, że będzie się mścić? – spytał z obawą Gallah. – Za to, że ludzie ją wyparli, bo nie umieli się nią posługiwać?

– Nie wiem, czy zemsta to dobre słowo. – Zerknęła co rusz na chłopca wydającego nieskładne odgłosy. – Ona po prostu wróci i zapanuje. I nikt nie stanie jej na drodze.

– Nawet mędracy? – Spojrzał na nią znacząco.

– Tylko prawdziwi mędracy – powiedziała z naciskiem. – A za takich mogliby się uważać tylko visarowie. Niektórzy twierdzą, że znów są wśród nas.

– Zdaje się, że o jednym słyszałem – przypomniał sobie. – Leśny mędrzec strzegący lasów Graent na dalekiej północy. Bywał czasem w Őrn, nauczał, opowiadał o tym i owym. Nazywali go Viska.

– Możliwe, kto wie?

Ponownie przyjrzał się klepsydrze zdobiącej dekolt kobiety. Nie chodziło tylko o wisiorek, choć ten chwilowo zwracał większą uwagę Gallaha niż walory Alexii. Znał ten symbol zbyt dobrze, zbyt wiele razy go widział, by nie wzbudził jego podejrzeń.

– Znalazłam go – oznajmiła, znów bezbłędnie odgadując myśli rycerza. – Zapewne należał do Anah. Ale dla mnie to tylko ozdoba, na której można zawiesić oko.

Uśmiechnęła się, a Gallah wytrzymał jej spojrzenie, nie umknął przed żółtymi iskierkami. Skierował oczy na wargi, wydatne i pełne, na idealnie gładkie białe policzki, a następnie powędrował ku bladej szyi i znów natrafił na klepsydre, na lazururowe ziarenka wyznaczające ramy czasu.

Alexia chwyciła wisiołek i zaczęła obracać go w palcach. Gallah nagle uciekł wzrokiem, spojrzał na Fjolliego, a potem w kierunku okna. Owładnęła nim myśl, że ta kobieta ma jednak coś z wiedźmy, że nieznanym sposobem czyta jego wnętrze i próbuje go... oczarować.

– Późno już – rzuciła. – Może odwiedzę Rigne jeszcze dziś, nie wiem. Proszę, żebyś został z chłopcem, dopóki po niego nie przyjdę.

– Długo to zajmie?

– A co? Spieszno ci gdzieś? – zachichotała. – Do jutra i tak zamierzałeś zostać w Hugu, dłużej nie będę marnować twego... cennego Czasu – zaakcentowała ostatnie słowa, skłaniając Gallaha do ponownego spojrzenia na klepsydrę, na długie palce, które się nią bawiły.

– W takim razie do rychłego zobaczenia. – Wstał z ławy. – Fjolli... łatwo go uspić?

– Śpi jak dziecko – odparła radośnie i pocałowała chłopca w czoło. – Nie spuszczaj go z oczu. – Zmierzyła Gallaha zimnym spojrzeniem, choć wciąż się uśmiechała. – Obiecuję, że się odwdzięczę.

Odprowadził ją wzrokiem do wyjścia, czując narastający lęk i podekscytowanie. Z jednej strony nie do końca ufał Alexii, z drugiej zapragnął dać jej coś więcej niż tylko zaufanie.

Zanim Królowa Kart dotarła na turniej we Frosku,
rozegrała przedziwną partię kortetu w Reyfossie 

Przeczytaj opowiadanie
Mężobaba, towarzysz doli i karciana uczta w Reyfossie
w numerze specjalnym (1/2024) Magazynu „Biały Kruk”!

Numer specjalny: [magazyn.bialykrak.org/wp-content/uploads/
2024/07/magazyn_bialy_kruk_-_nr_specjalny_1_2024.pdf](https://magazyn.bialykrak.org/wp-content/uploads/2024/07/magazyn_bialy_kruk_-_nr_specjalny_1_2024.pdf)

Strona internetowa: magazyn.bialykrak.org

Facebook: facebook.com/MagazynBK

Instagram: instagram.com/magazyn.bialykrak

Wejdź do świata Białego i Czarnej!

Facebook

facebook.com/nkubicius

Instagram

instagram.com/nkubicius

Wattpad

wattpad.com/user/NKubicius

Fantastyczne słowa (blog)

nkubicius.blogspot.com

Kącik Gaspara (playlista)

Spotify: open.spotify.com/playlist/51IhTyics0DWdXzmLRgPg0

YouTube: youtube.com/playlist?list=PLtsIYmM8R8ueBVv1i6glxjE-kggXXmQ6Q

Księgarnia

empik.com